

PRZEMEK CORSO

MARATON

novares
WYBRANICTWO INNOWACYJNE

Przemek Corso

Maraton

REDAKCJA: Magdalena Hinz

KOREKTA: Aleksandra Tykarska

OKŁADKA: Artur Kowalski

ZDJĘCIE AUTORA: Karol Węglewski

SKŁAD: Magdalena Hinz

© Przemek Corso i Novae Res s.c. 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-7722-795-4

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61

e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | Legimi.com

Dla mojego brata Patryka

Zawsze bądź sobą! Nieważne,
jak będziesz miał na nazwisko.

PROLOG

**IL BUONO,
IL BRUTTO,
IL CATTIVO**

Nigdy nie podejrzewał, że będzie chciał go zabić.

Że chęć pojawi się tak nagle i będzie tak silna.

– Jezu Chryste... – sapnął.

Przez chwilę wystraszył się, bojąc się, że ta chęć przejmie nad nim kontrolę, że nogi same go do niego zaprowadzą.

Czy można to nazwać sprawiedliwością? To byłby raczej jednoosobowy lincz.

Westchnął. Ominął biurko w swoim pokoju, który w myślach nazywał gabinetem, i podszedł do jednej z ogromnych panoram Tatr wiszących na ścianie. Kupił je na zamówienie kilka lat temu.

Dotknął palcem kilku szczytów i poczuł, że się uspokaja.

– Drugi kubek kawy, a później świat sra ci na głowę... – mruknął sam do siebie.

Może gdyby napił się czegoś mocniejszego... Jego wzrok mimochodem zawędrował w kierunku barku.

– Tato? – Usłyszał głos swojego syna.

Gwałtownie odwrócił się w jego kierunku. Zobaczył małego stojącego w drzwiach i podpierającego białą framugę, tę samą, którą obiecywał zarówno sobie, jak i swojej żonie odświeżyć... przynajmniej jeszcze w tym stuleciu. Farba i pędzle podobno nie gryzą, choć on miał inne zdanie na ten temat.

– Co się stało, Blondasie? – Nazywał tak syna, mimo że obydwójce mieli kruczoczarne włosy. Jego, co prawda, były już lekko sprószone siwizną, ale w zasadzie takie same. – Wystraszyłeś mnie... Gdzie się nauczyłeś tak skradać?

– Tato, martwię się – powiedział, ignorując pytanie ojca.

Mały rzeczywiście wyglądał na zmartwionego.

– Chodź tu do mnie, posiedzisz ze mną w gabinecie i mi opowiesz.

Kiedy jego syn postąpił kilka kroków, wchodząc do środka, on sam podszedł do barku z alkoholem. Po chwili zastanowienia wziął niską szklaneczkę i chwycił za pierwszą z brzegu butelkę czegoś, co z pewnością było rozlewane w Polsce. Prawdziwy polski koniak? Prawdziwa polska szkocka whisky? Nie robiło mu to różnicy. Ciężko było określić go mianem konesera, skoro zazwyczaj przechylał jedną czy dwie szklaneczki w weekendy albo... w takie dni jak dzisiaj. No właśnie. Zerknął w stronę syna kręcącego się przy biurku, westchnął i odstawił butelkę razem z pustą szklanką. Zamknął barek. Pstryknął kilka razy palcami i sięgnął po fiolkę z pyłącą się aspiryną, od razu przegryzając dwie. Żadnego alkoholu. Nie dzisiaj.

Nie chciał, żeby jego syn identyfikował go z postacią trzymającą szklankę. Wystrzegał się tego nawet w chwilach słabości. Dzieci to dzieci. Rejestrują nawet z pozoru nieistotne szczegóły.

– Blondas – szepnął w kierunku syna, podszedł do niego i wziął go na rękę. – Jezu, ile ty ważysz? Sto kilo?

– Nie.

– Na pewno z osiemdziesiąt! Co najmniej!

– Tato! – pisnął i zaczął się głośno śmiać. – Przestań mnie łaskotać.

Ojciec usiadł na kanapie i posadził syna na kolanie.

– Opowiedz, co cię martwi?

– Nie wiem – mruknął Blondas wymijająco.

– Najpierw mówisz, że coś cię martwi, a teraz mnie oszukujesz... Oszukujesz mnie? – Spojrzał na niego groźnie.

Pod siłą ojcowskiego spojrzenia mały skapitulował.

– Powiem ci na ucho – szepnął.

Ojciec westchnął i nadstawił ucha.

– Dobra. Tylko szybko.

Blondas pochylił się i szepnął kilka słów.

Kiedy było już po wszystkim, ojciec tylko zacisnął jedną z dłoni w pięść, aż jego kostki zrobiły się białe, i dosłownie zazgrzytał zębami.

Zabiję go – ta myśl uderzyła go z niewyobrażalną siłą. Pójdę do niego i go, kurwa, zatłukę!

– Dlaczego boisz się sąsiada? – wydusił z siebie, dalej czując smak aspiryny na języku. Próbował się na nim skupić, kontrolując gniew. Jego syn. Kochany dzieciak. Nic więcej się nie liczyło.

Blondas zrobił skruszoną minę.

– Bo mama mówiła, że on znowu pobił panią Basię i że ona... – Zawiesił na chwilę głos. – ...tym razem trafiła do szpitala.

– Tak, wiem. Wiem, że trafiła do szpitala – odparł ojciec, a jego usta zamieniły się w niewidzialną kreskę. – Kiedy to słyszałeś?

– Jak mama rozmawiała przez telefon.

Ojciec zamyślił się głęboko, cały czas zaciskając pięść. Raz za razem.

– Jest dużo złych ludzi na tym świecie, Blondasie – mruknął w końcu. – Czasami nic nie można z tym zrobić.

– Dlaczego są źli?

– Bo tak. Bo są smutni albo głupi. Albo myślą tylko o sobie. *Il buono, il brutto, il cattivo*, pamiętasz?

Mały zmarszczył na chwilę brwi.

– Taaaaak. – Przypomniał sobie i uśmiechnął się szeroko. – Pamiętam.

– Powtórz. Przecież lubisz ten film.

– Tato!

– No spróbuj... – zachęcił.

– *Il buono, il brutto, il...*

– *Il buono, il brutto, il cattivo*, Blondasie.

Zapadła cisza, która równie dobrze mogłaby trwać wieki.

Dlaczego ludzie są źli? Ojciec nie miał pojęcia, a elementarne pytanie syna jeszcze bardziej utwierdziło go w tym przekonaniu. W gabinecie, w którym siedzieli, w którym było tyle samo książek co kurzu, a na ścianach wisiały wielkie malowane farbami olejnymi panoramy Tatr, napisał kilka dobrze sprzedających się nowel. Tylko tyle i aż tyle. Krzepiących, a czasem gorzkich historii o życiu i o ludziach. Tymczasem tak naprawdę gównem o tym wszystkim wiedział. O ludziach i ich historiach. Ostatnie lata spędził na snuciu historii o problemach i próbie ich rozwiązywania, a kiedy w końcu uderzył nosem w niewidzialną ścianę, tu i teraz, po prostu nie wiedział, co zrobić. Bo co mógł zrobić? Problem nie był w nim, tylko dosłownie kilka metrów od miejsca, w którym siedzieli.

Żyli w ogromnym mieszkaniu w powojennym budynku, na które w zasadzie pracował przez całe życie. I kiedy okazało się, że wszystko jest dobrze, że życie smakuje, pachnie i wygląda tak, jak powinno, nagle wydało się, że za ścianą sadystyczny skurwiel bije żonę w przerwach w chlaniu i oglądaniu filmów na VHS-ach. Zastraszoną kobietę, która za każdym razem do niego wraca. Tym razem jednak przesadził. Trafiła do szpitala z pękniętą czaszką. Wszyscy o tym szeptali. Wszyscy wiedzieli.

A skurwysyn dalej żył swoim życiem.

– Naprawdę boisz się sąsiada? – zapytał w końcu, czując suchość w gardle. Łyk alkoholu pozwoliłby mu pozbierać myśli. Na pewno.

– Tak.

– Ale dlaczego?

Blondas się zastanowił.

– Bo policjanci nic mu nie zrobili.

Miał rację. Może nic mu nie zrobili dlatego, że Baśka, która służyła za worek treningowy, nigdy nie złożyła oficjalnego doniesienia, a może dlatego, że skurwiel przed zmianą ustroju pracował w służbach mundurowych? Pan milicjant.

Tak, zdecydowanie policjanci nic mu nie zrobili i pewnie nie zrobią, nawet jeżeli któregoś pięknego dnia zgwałci swoją żonę i pobije ją do tego stopnia, że ona wyląduje na wózku

inwalidzkim albo w trumnie.

Mało tego! A teraz jeszcze nawiedza jego syna w wyobraźni, która...

– A jak przyjdzie po mamę?

– O czym ty mówisz?

Blondas momentalnie się zmieszał.

– Po naszą mamę? – zdziwił się ojciec. Próbował jeszcze coś powiedzieć, ale syn siedzący mu na kolanie po prostu zaczął płakać.

– Hej, chłopie... – Zaczął głaskać go po plecach. – Nie pozwolę na to. Myślisz, że bym na to pozwolił?

Odpowiedział mu ciężki oddech i stłumiony szloch.

Przytulił małego do siebie bardzo mocno. Jakie to uczucie trzymać cały swój świat w ramionach? Nikt nie byłby w stanie wyrazić tego słowami.

– Każdemu wydaje się, że pisze swoją własną historię – powiedział, kiedy jego syn w końcu się uspokoił. – Każdemu wydaje się, że jest najmądrzejszy i może oceniać innych albo ich krzywdzić. Nie martw się... Życie weryfikuje.

– Co to znaczy? – zapytał mały, smarkając ojcu przez ramię w kołnierz koszuli.

Ten to zignorował.

– Że życie weryfikuje? – Pocałował go w ucho.

– Tak.

Blondas spojrział wielkimi, zapuchniętymi od płaczu oczami.

Ojciec zastanowił się przez chwilę.

– To znaczy, że każdy w końcu... zostanie potraktowany tak, jak na to zasługuje.

– Naprawdę?

– Tak, mały. Inaczej życie nie miałoby sensu, a każdy robiłby, co mu się podoba. Tak właśnie by było...

Wierzę w to, kurwa, wierzę – pomyślał.

– Kocham cię, mały.

– Ja ciebie też, tato.

CZEŚĆ I
GŁOWĄ W MUR

– Dzień dobry – mówię do swojego lustrzanego odbicia. Staram się być nonszalancki, ale jedyne, o czym potrafię myśleć, to to, ile czasu spędzamy zamknięci w kiblach.

– Toaletach, ubikacjach, sraczach, wychodkach... – mruczę szybko pod nosem, a po sekundzie wahania dodaję: – ...umywalniach, sławojkach, wygodkach.

Przechylam lampkę czerwonego wina, wypijając prawie do połowy, a później znowu odstawiam ją na krawędź umywalki. Poprawiam guziki przy mankietach swojej białej koszuli. Nie umiem wiązać krawata, dlatego leży przygotowany na szafce po mojej lewej. Pętla, którą wystarczy zarzucić na szyję.

– Pewnie zastanawiasz się, co tu robisz? Na pewno masz setki pytań, prawda?

Moje lustrzane odbicie milczy.

Nagle wzdycham i pochylam się, delikatnie dotykając głową tafli lustra. Jest przyjemnie zimna, ale obca, tak samo jak wszystko wokół.

– Nie mam żadnych odpowiedzi. Nawet jednej. Przykro mi.

Zakładam krawat, dopijam resztę wina z kieliszka, podciągam krawat, idę do lodówki po butelkę, napełniam kieliszek na nowo, kładę butelkę na pralce, poprawiam krawat, znowu przechylam kieliszek, wypijając do połowy, zakładam marynarkę i zapinam ją na jeden guzik.

– Nie jesteś tym pierdolonym garniturem – mówię do swojego lustrzanego odbicia.

Nie jestem nim.

– Nienawidzisz każdej pierdolonej rzeczy w tym mieszkaniu.

To prawda.

Przechylam kieliszek, wypijając wino do dna.

– Nie mam żadnej odpowiedzi – mówię i przez chwilę brzmię, jakbym naprawdę miał to na myśli, ale jedyne, co chodzi mi po głowie, to pełna wulgaryzmów, pretensjonalna literatura, której nie da się czytać, gówniana grafomańska poezja i dewulgaryzacja mowy potocznej.

– Kurwa, pierdolona jego mać!

Napełniam kieliszek.

Człowiek nie może sobie nawet siarczyście przekląć. Wszystko straciło na mocy i znaczeniu. Wszystko jest takie DE, a ludzie tacy A.

Moje lustrzane odbicie wsadza do ust papierosa i odpala go.

– Pokolenie wychowane przez kobiety – mówi nagle. – Demitologizacja mężczyzn w amoralnym społeczeństwie.

Nagle wybuchają śmiechem, a ja po prostu milczę.

– Wybacz, ale musiałem to powiedzieć. – Wzrusza ramionami, zaciąga się głęboko papierosem i wydmuchuje mi dym w twarz.

– Wszystko takie DE i A – przedrzeźnia mnie. – Ładne. Podoba mi się. Jak na człowieka, który jeszcze kilka sekund wcześniej myślał o pretensjonalnej literaturze, trochę... Jak by to powiedzieć?

– Nie myślałem. Nie rozmyślałem. Nie analizowałem.

– A jak byś to nazwał?

– To po prostu gdzieś tam jest – tłumaczę, chwytając za kieliszek i wznosząc go lekko do toastu. – Jak cierni za okiem.

– Rozplączesz się?

– Jeszcze nie teraz. Później.

Pretensjonalna literatura, bo pretensjonalne życie. Wszystko jest odbiciem wszystkiego. Wszystko wynika ze wszystkiego. Każdy zostawiony samopas.

Piję do dna. Muszę pić.

Już mam ochotę na kolejną lampkę.

Dopiero po chwili orientuję się, że w ręce trzymam papierosa. Zaciągam się głęboko.

– Muszę biec. Życie to marato... – Urywam na chwilę, zde gustowany własnym porównaniem. „Życie to maraton” brzmi jak hasło spod kapsla jakiegoś gównianego napoju albo slogan paraolimpiady.

– Biec, nie poddawać się, oddychać, lewa, prawa! – mówię głosem spikera radiowego.

Szkoda tylko, że nie wiem, w którym kierunku.

Chcę nalać sobie wina, ale butelka jest już pusta. Jak to możliwe?

Biec tylko po to, żeby biec? A co jeśli w trakcie poczuję zmęczenie? Jeżeli przywalę głową w mur? Co jeżeli brak mi motywacji? Co jeżeli urodziłem się zajebiście zmęczony? Co jeżeli potrzebuję trenera? Co jeżeli moje oprogramowanie nie jest zaktualizowane?

– Nie mam żadnych odpowiedzi – mówię.

To prawda.

Znowu zaciągam się papierosem. Głęboko. Choć przez mgiełkę alkoholową wszystkie bodźce docierają do mnie z opóźnieniem, mam wrażenie, że zaczynają boleć mnie wnętrzności.

– W transylwańskim zamku siedzi trzech wampirów – zaczynam po chwili. – Trzech najprawdziwszych krwiopijców. Siedzą przy stole i grają w pokera. Profesjonaliści. – Znowu zaciągam się papierosem. – Nagle jeden z nich mówi: „Hej, chłopaki, zgłodniałem. Wychodzę na chwilę”. I rzeczywiście wychodzi. Nie ma go dwadzieścia minut, a kiedy wraca, jest cały upierdolony krwią. „Kojarzycie tę wioskę na północy? Wszystkich wyciąłem w pień...”. – Strzepuję popiół z papierosa do otwartej muszli klozetowej. – Wszystkich wyciąłem w pień – powtarzam. – Robi się wesoło i znowu zaczynają grać. Nagle drugi z wampirów mówi: „Wiecie

co? Ja też zgłodniałem. Też wychodzę na chwilę, nie zaglądamy mi w karty”. I rzeczywiście wychodzi. Wraca po piętnastu minutach i mówi: „Kojarzycie tę wioskę na wschodzie? Tak się nimi zająłem, że będą musieli naprawdę dużo się pieprzyć, żeby nadrobić straty w ludziach”. – Znowu się zaciągam i wydmuchuję dym prosto w swoje lustrzane odbicie. – Nagle trzeci z wampirów nie wytrzymuje, wstaje od stołu i mówi: „Chłopaki, narobiliście mi apetytu. Teraz ja muszę skoczyć coś przegryźć”. I rzeczywiście... Wychodzi... Wraca po trzech minutach, a pozostałych dwóch patrzy na niego ze zdziwieniem. „Stary, co tak, kurwa, szybko?” A on na to: „Wypierdoliłem się na schodach”.

Gaszę papierosa, uśmiecham się kwaśno i wychodzę. Pan w garniturze za pięć tysięcy złotych, zupełnie jakby cena miała jakiegokolwiek znaczenie.

Światło gaśnie. Koniec sceny.

Udaję, że wszystko jest w porządku. Jak zawsze. Lewa, prawa.

Pokolenie ludzi, którzy udają, że wszystko jest w porządku.

Kurwa, pierdolona jego mać!

Mam ochotę na drinka.

Kiedy biegacz biorący udział w maratonie opada z sił, może zderzyć się ze swoją niewidzialną ścianą i następuje koniec. Przeczytałem kiedyś o tej teorii, która odwołuje się do wewnętrznej blokady. Mentalny mur, który maratończyk, o ile ćwiczy i jest przygotowany, może przesunąć daleko, aż za horyzont. Teoria Gallowaya. Lewa i prawa półkula.

Chrząknąłem w uznaniu, jak przepełniony jestem niepotrzebnymi informacjami.

Tylko że na niewidzialną ścianę można natknąć się zazwyczaj pod koniec biegu, kiedy ktoś nie ma już sił.

RETROSPEKCJA: „Co jeżeli urodziłem się zajębiście zmęczony?”.

Znowu chrząknąłem. Miałem spuszczoną głowę, a z ust kapała mi ślina.

Kiedy 24 czerwca o godzinie 23.31 natknąłem się na swoją niewidzialną ścianę i w końcu dotarło do mnie, że jestem alkoholikiem, zacząłem zastanawiać się, czyja to może być wina.

Stałem pijany przed pisuarem w jakiejś knajpie, w jakimś kolejnym kiblu, podpierając się obydwojema rękoma o ścianę, i nagle ta myśl przyszła. Choć chyba bardziej prawdopodobne, że już tam była. Może czekała na mnie. Czekala, aż ją zauważę.

Równie dobrze mógłbym być ślepy.

Kto zrobił ze mnie alkoholika? – zastanowiłem się i spojrzałem na zegarek z datomierzem.

– 24 czerwca, godzina 23.31 – mruknąłem sam do siebie. – Wypierdoliłem się na schodach.

Tak. Co do sekundy.

– Co? – zapytał niewysoki mężczyzna stojący przy pisuarze obok. Miał dredy i wojskowe spodnie z wielkimi kieszeniami. W uszach miał wielki srebrny kolczyk.

Zerknąłem w jego kierunku, próbując jednocześnie nie patrzeć na jego penis. Takie rzeczy zawsze robi się odruchowo, a my jako ludzie musimy uczyć się kontrolować odruchy. Wtedy stajemy się bardziej ludzcy. Wersja 2.0. Update. Upgrade. Aktualizacja. Cokolwiek.

Nawet gdybyś umierał z ciekawości, czy tam na dole też ma dredy i jakiś przejebany kolczyk, to jednak musisz się powstrzymać.

– Nie rozumiem? – zdziwiłem się, czując że mój mózg zaczyna przyśpieszać.

– Mówiłeś coś, kurwa – wybełkotał w moim kierunku z wyraźną pretensją w głosie.

– Nie, nic nie mówiłem – odparłem z powagą.

Słyszając to, najpierw spojrzał na mnie podejrzliwie, a później zaczął sikać. Kiedy zorientował się, że szcza w spodnie, ja wykorzystałem ten moment, żeby zapiąć rozporek, poprawić mankiety koszuli, podciągnąć krawat, zapiąć guzik w marynarce i niepostrzeżenie wślizgnąć się do jednej z kabin. Tam pochyliłem się nad muszlą i pomagając sobie palcami, zwróciłem całą płynną zawartość żołądka.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że gdybym nie poprawił mankietów, krawata i nie zapiął guzika, wymiotowałbym na siebie.

Pamiętacie? Wersja 2.0. Ta bardziej ostrożna. Planująca posunięcia.

Kiedy pochylałem się nad muszlą, wyginając się jak kot dławiący się kłakiem, wyobraziłem sobie, że mógłbym pracować jako żywa atrakcja turystyczna. Siedziałbym w klatce obok kobiety z brodą, mając na plecach wielką tablicę. Człowiek fontanna – mówiłby napis. Ojciec wszystkich ojców. Ojciec wszystkich matek.

Wyrobiam normę – pomyślałem, czując w ustach kwas, i zacząłem się śmiać.

Skończyłem, spuściłem wodę, dokładnie wytarłem szarym papierem toaletowym deskę, znowu spuściłem wodę, śledząc papier, a kiedy wyszedłem z kabiny, umyłem ręce, patrząc wprost na swoje lustrzane odbicie.

Nikt nie zrobił ze mnie alkoholika.

Zerknąłem na zegarek.

24 czerwca, godzina 23.35.

Czas konkluzji. Co do sekundy.

Ja po prostu lubię wypić.

Kiedy wróciłem do stolika, zobaczyłem trzech mężczyzn ubranych tak samo jak ja: w garnitury. Siedzieli, trzymając swoje drinki i piwa, i dyskutowali o czymś całkowicie

nieważnym. Czyli zobaczyłem ich dokładnie takich samych, jakich ich zostawiłem.

Tylko ja się zmieniłem. W przeciągu czterech minut stałem się innym człowiekiem.

– Trawki, Deo? – zwrócił się do mnie jeden z nich.

Usiadłem obok, złapałem swoją szklaneczkę z wódką i przechyliłem ją do dna. Prawie roztopione kostki lodu zachrupały mi pomiędzy zębami.

– Nie lubię tego młodzieżowego gówna – odparłem. – Wystarczy, że ten lokal jest przepełniony naćpanymi łbami... – dodałem zgodnie z prawdą. – Ja po prostu lubię wypić. – Te słowa miały posmak wymiocin.

– Czy ja wiem... – rzucił Tomasz, rzecznik prasowy prezydenta miasta. – Czasami pałę z Beatką przed seksem... Fajna sprawa. Nie żeby bardzo często... Ale wiecie...

Bartek, przez którego musieliśmy dzisiaj założyć garnitury, klasnął w dłonie.

– Zamawiamy coś jeszcze? – zapytał.

Wsadziłem do ust papierosa, czekając na dalszy ciąg wydarzeń, a Mirek, który kilka sekund wcześniej zaproponował mi trawkę, jak na sygnał podniósł się ze swojego miejsca.

– Ja zamówię – powiedział. Miał szpakowate włosy i mógłby być moim ojcem, ale co ważniejsze, był redaktorem naczelnym jednego z największych polskich tygodników społeczno-politycznych, a to czyniło z niego jednego z moich szefów. – To samo, panowie?

W pewnym sensie każdy z tych trzech facetów, z którymi piłem od dobrych kilku godzin, był czymś spełnionym marzeniem. W mniejszym lub większym stopniu, w zależności od priorytetów.

Moja obecność w pewien sposób urzeczywistniała to wszystko.

Kiedy Mirek zniknął w tłumie tańczących nastolatków, Tomasz odpalił mi papierosa i sam zapalił jednego, głęboko się zaciągając.

– Kiedy wraca do Warszawy? – zapytał, wypuszczając dym kącikiem ust.

– Kto? Mirek? – zdziwił się Bartek. – Nie wiem, kurwa... Pewnie jutro.

– Wrzuci ten materiał o Festiwalu Złota i wystawie?

Bartek wzruszył ramionami.

– Po to przyjechał – stwierdził. – Jak my wszyscy... Mam nadzieję, że nie napisze całej prawdy... Raczej... trochę ją podkreśli... – Tu urwał na chwilę i spojrzał w moim kierunku. – To twoja działka, prawda?

– Co masz na myśli? – Przechyliłem się w jego stronę, żeby go lepiej słyszeć.

– Będiesz pisał o naszym Festiwalu?

– Nic nie będę pisał – odparłem. Było w tym tak samo dużo prawdy jak w stwierdzeniu, że lubię wypić. – Stary przywiózł mnie towarzysko.

– Przyjechaliście razem? – zdziwił się Tomasz.

– Już ci mówiłem. – Uśmiechnąłem się na widok zakłopotania, które odmalowało się na jego twarzy.

– Uciekło mi to, wybacz. Myślałem, że Mirek przyjechał sam.

Wskazałem na siebie kciukiem.

– Ze mną. Nie ma sprawy. Nie przejmuj się.

Bartek wybuchnął śmiechem.

– Tomaszku – zwrócił się do niego. – A ty wiesz, że Deo to jebany geniusz? Poznałem go, jak miał siedemnaście lat.

Słyszając to, skrzywiłem się. Przypomniał mi się człowiek fontanna i kobieta z brodą. Miałem wrażenie, że zaraz zaczną wytykać mnie palcami.

Bartek momentalnie wskazał mnie palcem.

– Geniusz, kurwa!

Tomasz zgasił papierosa.

– Deo, tylko czemu mi się zakodowało, że ty mieszkasz we Wrocławiu? – zapytał.

– Bo też jest na W – zażartowałem niechętnie. – Mówiłem już, żebyś się nie przejmował.

Do stołu wrócił Mirek, a tuż za nim przyszła śliczna kelnerka z krótkimi, nastroszonymi, białymi włosami i kolczykiem w brwi. Postawiła na stoliku cztery duże piwa i cztery niskie szklanki żołądkowej z lodem, a później zerknęła w moim kierunku i się uśmiechnęła.

Na ułamek sekundy zanurzyłem się w jej lodowatoniebieskich oczach, a później już tylko tępo gapiłem się na alkohol stojący przede mną, w głębi duszy ciesząc się, że byłem na tyle rozsądny, żeby zwymiotować.

– Ja pierdolę – sapnął Mirek, siadając przy stoliku. – Myślałem, że się nie przebiję przez ten tłum.

– Śliczna dziewczyna – stwierdził Tomasz. – Ile może mieć lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia cztery?

Bartek westchnął.

– Rozmawialiśmy na temat dzisiejszego Festiwalu. Jako organizator czuję się po prostu kurewsko... Mogę ci to powiedzieć, Mirek... Jestem pijany i szczery, a ty jesteś moim przyjacielem...

Mirek słyszając to, prychnął.

Tak naprawdę wiedziałem, co myśli, chyba jako jedyny z całego towarzystwa. Bartek może znał mnie, kiedy miałem siedemnaście lat, ale to Mirek zaczął mnie kształtować.

– W tym roku fundusze nie dopisały... – kontynuował Bartek.

Mirek znowu prychnął.

– Ja sobie zdaję z tego sprawę... – odpowiedział. – Ale wydaje mi się również, że właściwa idea Festiwalu jako takiego... po prostu się rozmyła. To impreza dla ludzi... A tak na dobrą sprawę mamy kilkunastu zaproszonych gości... kilka, kurwa, plakatów na krzyż... Wiesz... robicie to lokalnie, Bartek, ja wiem... W Warszawie mamy na takie rzeczy większe pieniądze... Na samą reklamę, rozumiesz? Ale jako organizator powinieneś wiedzieć, że Festiwal Złota wymusza na tobie pewien prestiż. To jedna z najbardziej znanych imprez w Europie... A dzisiaj udowodniłście, że tak nie jest... Mimo nagród, które macie na koncie.

– Czyli obsmarujesz nas?

– Nie. Po prostu napiszemy prawdę.

Złapałem szklaneczkę z wódką i upiłem łyk, uciekając od całej tej rozmowy. Uciekając od tego wszystkiego.

– Wybaczcie na chwilę – rzuciłem i ruszyłem za kelnerką. Sam do końca nie wiedziałem, czy mam jakiś plan. Po pijaku zawsze byłem przepelniony miłością.

Przebiłem się przez tłum, trzymając swoją wódkę na wysokości klatki piersiowej, blisko serca, żeby przez przypadek się nie wylała, i kiedy dotarłem w końcu do baru, zobaczyłem najpierw jej włosy, później kolczyk, a potem jeszcze faceta w dredach, który kilka minut wcześniej bełkotał coś do mnie w toalecie.

Wyglądał trzeźwiej, a na twarzy miał przyklejony krzywy grymas. Od razu było widać, że dziewczyna nie jest zachwycona konfrontacją.

Upiłem łyk wódki i ruszyłem w ich kierunku.

– Cześć – powiedziałem do dziewczyny, kompletnie ignorując dredziarza.

Na parkiecie zrobiło się jeszcze głośniejsze. Ludzie zaczęli wyć, słysząc pierwsze takty piosenki o Jah, który był czymś trenerem i prezydentem.

– Cześć – powtórzyłem głośniejsze i dziewczyna dopiero wtedy odwróciła się w moim kierunku. Jej twarz rozpromieniła się na mój widok. Najwyraźniej dredziarz się jej naprzykrzał, a moja osoba mogła oznaczać ratunek.

Mylili się. Prawie pod każdym względem byłem gorszy niż on.

– Ten pajac nie pozwala mi pracować – powiedziała, zbliżając się do mnie. Stała tak blisko, że poczułem zapach jej włosów.

Upiłem łyk ze szklanki.

– Spierdaj, koleżko! – ryknął mi prosto w twarz, przekrzykując muzykę. – Rozmawiam z nią... – Złapał ją za ramię i ścisnął, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów.

Dziewczyna zakląła paskudnie.

Na ten widok uśmiechnąłem się. Odruch. Moja zwierzęca wersja 1.0.

– Wypierdalaj, mówię! – powtórzył.

Moja zasłona alkoholowego otumanienia opadła i sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki, jednocześnie pochylając się w jego kierunku.

– Znasz ją? – zapytałem.

– To moja dziewczyna, ty kurwiszonie w garniturze – ryknął. – Odpierdol się od nas!

Znowu się uśmiechnąłem.

– To twój chłopak? – zapytałem jej.

– Nie, kurwa – syknęła w końcu, wyrывая się z jego uścisku. – To jakiś pajac.

Wyciągnąłem z kieszeni kilka banknotów i znowu pochyliłem się w jego kierunku.

– Jak masz na imię? – zapytałem.

Widząc pieniądze w mojej ręce, trochę spuścił z tonu.

– Olek.

Czknąłem i potarłem usta zewnętrzną stroną dłoni. Napiłem się wódki.

– Posłuchaj mnie bardzo uważnie, Olek, czy jak ci tam na imię. Weź sobie tą kasę. Tu jest kilka stów. Bierz, kurwa, wszystko, pod warunkiem że dasz spokój tej dziewczynie. Masz się dzisiaj do niej nie zbliżać, kapujesz? Idź sobie na parkiet, pośpiewaj do Jah, ogol te pierdolone dredy, kup sobie trochę trawy, idź na studia... Cokolwiek. Po prostu bierz kasę i spierdalaj, okej?

Dredziarz przyglądał mi się przez chwilę z niedowierzaniem.

– Bierz kasę i spierdalaj – powtórzyłem, wciskając mu ją do ręki.

Momentalnie zniknął w tłumie ze wszystkimi pieniędzmi, które miałem. Została mi tylko wódka i dziewczyna.

– Nazywam się Amadeusz – zwróciłem się do niej.

Przez kilka chwil przyglądała mi się w zdumieniu. Chyba do końca nie wiedziała, co się przed chwilą wydarzyło.

– Bardzo mi miło, Amadeuszu.

– Jak masz na imię? – zapytałem. Dosłownie kilka centymetrów dzieliło mnie od jej ust.

– Kaśka – odparła.

– Bardzo mi miło, Kasiu – powiedziałem. – Wyświadcz mi teraz przysługę i zawołaj kierownika albo kogoś z ochrony, dobrze?

Dziewczyna zamrugnęła oczami.

– Ale... ale po co?

Upiłem kolejny łyk wódki, tym razem przegryzając kostkę lodu.

– Chciałbym zgłosić kradzież.

Teoria potwornego szczęścia w życiu codziennym brzmi jak błąd w założeniu. Skoro coś jest potworne, oznacza tylko tyle, że jest przerażające albo ohydne. Ja to tak rozumiem.

Obudziłem się w hotelu o godzinie trzynastej. Miałem kaca, który sprawiał, że czułem się, jakbym dopiero zmartwychwstał. Jakbym wrócił z piekła.

I to głównie z powodu papierosów, a nie alkoholu. Pieprzony tytoniowy kac.

Ale jednak obudziłem się szczęśliwy.

Potwornie szczęśliwy.

Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale myśląc o wydarzeniach poprzedniego wieczoru, czułem się, jakbym brał udział w cudzym życiu. Lepszym życiu. Pełniejszym. Z mniejszą ilością problemów.

Jestem alkoholikiem. 24 czerwca, godzina 23.31. Katharsis.

Odwróciłem się na łóżku i zobaczyłem śpiącego w fotelu Mirka. Miał na sobie garnitur. Nawet nie zdążył się rozebrać.

Wybuchnąłem zachrypniętym śmiechem.

Dopiero później usłyszałem jej głos.

Kiedy wychodziła z łazienki, była owinięta w szlafrok, a gdy podeszła do łóżka, zsunęła go i zobaczyłem jej nagie ciało. Małe, sterczące piersi i kilka tatuaży. Krótkie, mokre, białe włosy opadały jej na czoło.

Wskoczyła na łóżko i wślizgnęła się pod kołdrę.

– Trochę capisz – stwierdziła, przytulając się do mnie.

Poczułem jej rękę tam na dole i nagle zrobiło mi się przyjemnie.

– Twój znajomy przyszedł do naszego pokoju z godzinę temu, bełkotał coś o Warszawie, a później zasnął.

– O której wyszliśmy z knajpy? – zapytałem, kiedy pracowała ręką tam na dole.

– Zamknęliśmy chwilę po szóstej.

– Ja pierdołę – szepnąłem. – Czuję się, jakbym przebiegł kilkudziesięciokilometrowy maraton.

Nie skomentowała tego, bo schowała głowę pod kołdrę i zaczęła mi robić dobrze ustami.

Mruknąłem z zadowoleniem i wtedy Mirek się obudził, jakby ktoś kopnął go prądem. Wierzgnął w fotelu i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Amadeusz? – wycharczał, rozglądając się. – Co ja tu, kurwa, robię?

Trochę się wystraszyłem i sięgnąłem ręką pod kołdrę, dając Kaśce znać, żeby natychmiast przestała, ale usłyszałem tylko chichot.

– Czy ktoś jest pod twoją kołdrą? – zapytał Mirek, przecierając oczy.

– Ja... Ja... mam... poważny problem... – jęknąłem i ukryłem twarz w dłoniach. Kiedy zamknąłem oczy, wszystko zaczęło wirować i nagle poczułem, że muszę zwymiotować.

Dziewczyna pod kołdrą dalej robiła swoje.

Kawałki jedzenia znikwały w jego ustach. Wyglądał już o wiele lepiej niż rano, kiedy obudził się w fotelu, przyłapując mnie na seksie oralnym z obcą dziewczyną.

Kelnerką – poprawiłem się w myślach.

Wytatuowaną Kasią z kolczykiem w twarzy – dodałem.

Mirek ogolił się i przebrał, a teraz po prostu jadł obiad w hotelowej restauracji, pozwalając, żebym na niego patrzył. Był mistrzem w udawaniu, że nic się nie stało.

– Zdarza się – stwierdził w końcu pomiędzy jednym pieczonym ziemniakiem a drugim.

Spojrzałem mu głęboko w oczy, szukając jakichkolwiek oznak kaca.

Milczałem, pijąc kolejną lampkę wina.

Na kaca zawsze najlepiej mi robi wytrawne martini i słoik oliwek, ale w barze zabrakło martini, więc piłem białe, mocno wytrawne wino, zagryzając je zielonymi, drylowanymi oliwkami.

Obiad.

– Zdarza się – powtórzył nagle, sięgając po piwo. Nie byliśmy w odpowiednim stanie po wczorajszym Festiwalu Złota i późniejszej wizycie w knajpie, żeby prowadzić samochody, więc Mirek zadzwonił po kierowcę do Warszawy.

I oto my. Czekający na transport. Przedłużający dobę hotelową. Jedzący i pijący.

Głównie pijący.

– Co to znaczy „zdarza się”? – zapytałem w końcu. – Masz na myśli to, że uświadomiłem sobie, że jestem alkoholikiem, czy to, że zdradziłem swoją narzeczoną z jakąś pierdolniętą nastolatką?

Mirek mruknął i znowu napił się piwa.

– Dramatyzujesz...

– To twoja odpowiedź?

– Pisziesz swój własny dramat, Deo... Teraz! Bez żadnego konkretnego powodu. Masz moralniaka... I jęczysz... Przestań, kurwa!

Prychnąłem. Tylko tyle potrafiłem zrobić. To była jedna z tych rzeczy, których nauczyłem się od niego.

– Masz dobre życie – kontynuował. – Świetnie zarabiasz, robiąc to, co kochasz, prawda? Nie

wspominam już o naszej gazecie, ale... W ilu serwisach zagranicznych jesteś korespondentem, co? Wszędzie widzę twoje zasrane felietony... Ostatnio otworzyłem kibel i zobaczyłem tam twój tekst... A co najważniejsze: są dobre... Więc przestań, Deo...

Przechyliłem swój kieliszek do dna. Wiedziałem, jaką taktykę stosuje. Próbował udowodnić mi, że jestem w błędzie, żeby samemu czuć się lepiej z samym sobą.

– Wiesz, ile razy zdradziłem swoją żonę po pijaku? – zapytał nagle, zniżając głos do szeptu. – Masz pojęcie?

Zamrugalem oczyma. Tym trochę zbił mnie z tropu.

– Do czego zmie...

– Robimy złe rzeczy, bo jesteśmy tylko ludźmi... Masz wyrzuty sumienia, że przespałeś się z nastolatką... Zrzucasz odpowiedzialność na alkohol, a tak naprawdę... i tak byś ją wylizał, Deo... gdybyś był trzeźwy... Gdyby usiadła tu przed tobą, rozkraczyła nogi i poprosiła o to... Zrobiłbyś to, Deo! Ja też... Klęczelibyśmy przed nią jak przed Matką Boską Częstochowską i lizalibyśmy jej cipkę...

– Ja... Ja...

– Nie zrzucaj odpowiedzialności na alkohol – powtórzył mentorskim tonem. Brzmiał trochę jak ojciec, kiedy jeszcze żył. – Jesteś tylko facetem... Zajebicie inteligentnym, przystojnym... Samcem. Zadaj sobie pytanie, co robi samiec, a później szczerze sobie odpowiedz.

Przy stoliku zapadła totalna cisza.

Nie czekał na moją odpowiedź. Nie czekał na komentarz. Jakaś pokrętna filozofia życiowa utwierdzała go w przekonaniu, że ma rację.

Sięgnąłem po butelkę i ponownie napełniłem kieliszek winem.

– Myślisz, że mam wyrzuty sumienia, zdradzając... Martę?

Wzruszył ramionami i jadł dalej.

Kęs za kęsem.

Ziemniaczki i kotlecik. Buraczki i chrzaniczek.

Wzdrygnąłem się.

– Kurwa, Mirek...

– Mmm?

– Ja mówię, że mam problem z alkoholem, a ty mi mówisz: „Hej, ja też zdradzam żonę”! Wszystko z tobą okej! Nie martw się! Juhuh hu hu, kurwa, Deo, ja pierdolę!

Mirek westchnął. Wiedziałem po jego minie, że moje słowa musiały go poirytować. Odłożył nóż i widelec, złapał za chusteczkę i wytarł usta.

Lodowate spojrzenie.

Cmoknięcie ustami.

Wdech i...

– Dobra, Deo... Jestem twoim przyjacielem... – zaczął. – O co ci tak naprawdę chodzi?

Powiedz mi, ja cię wysłucham i doradzę... No? No słucham?

– Jestem alkoholikiem, Mirek.

– Urlop?

– Co... Co? – zdziwiłem się.

– Chcesz pójść na urlop?

Ukryłem twarz w dłoniach.

– Chciałbym... – powiedziałem i urwałem, gubiąc wątek. – Stałem w tamtej toalecie i próbowałem się odlać... Opierałem się o ścianę... I wtedy to zrozumiałem... Uderzyła mnie ta myśl. Mam problem z piciem...

– Problem?

– Tak.

– Skoro to problem, to w czym leży jego sedno? W czym ci przeszkadza? Utrudnia ci pracę?

A może ją uniemożliwia?

– Nie.

– A kontakty z ludźmi?

– Nie.

– Wszystko gra?

– Tak.

– Jesteś nieszczęśliwy, kiedy pijesz?

Zawahałem się. Pomyślałem o tym lepszym życiu. Pełniejszym życiu.

– Nie... nie jestem.

– Więc zmień temat, zjedz kilka oliwek i przestań się uzalać.

Powiedział to z taką siłą, że mnie zatkało. Gdzieś tam czaiła się groźba, a ja tak naprawdę nie chciałem sprawdzać, co Mirek ma w głowie. Bałem się, że to, co zobaczę, może kompletnie mi się nie spodobać.

Bez żadnej reakcji znowu zaczął jeść, a ja opróżniłem kieliszek do dna i znowu napełniłem go, przechylając butelkę.

I nagle sobie to uświadomiłem. Mirek nie dopuszczał do siebie tego, co próbowałem mu powiedzieć. On był nawet gorszy niż ja. Starszy człowiek siedzący naprzeciwko mnie był jedną z wypadkowych.

Kiedy zszedłem do restauracji, on już tu był. Czekał z winem, sam sącząc piwo i czekając na

obiad.

Ile razy mi stawiał? Ile razy upijał się ze mną, traktując mnie jak swoją wymówkę albo pretekst? Ile razy prowokował? Ten człowiek kształtował mnie na swoje podobieństwo...

Równie dobrze mógłbym znowu prychnąć, bagatelizując całą sytuację. Zupełnie tak jak on.
Zrobiło mi się niedobrze.

Nie byłem trzeźwy od kilku lat.

Pamiętam te nieliczne dni, kiedy próbowałem nie pić. Ludzie myśleli, że coś jest ze mną nie tak. Że jestem chory. Przeziębiony. Albo że, o zgrozo, coś piłem.

Zamknięte koło.

Smutna prawda brzmi: kilka ostatnich lat mojego życia spędziłem wstawiony.

Byłem wydajny. Dużo pisałem. Żyłem. Funkcjonowałem na najwyższych obrotach.

Piłem.

Kurwa, jakie to niedorzeczne.

Nikt nie zauważył.

– Jak było na wyjeździe? – Marta rzuciła mi przelotne spojrzenie, mijając mnie w przedpokoju.

Nawet nie zdążyłem ściągnąć butów. Andrzej, kierowca, zostawił mnie pod samym domem.

– Jakim wyjeździe? – zapytałem, wchodząc do kuchni. Nadal nie ściągnąłem butów.
Wyciągnąłem z lodówki butelkę czerwonego wina i nalałem sobie lampkę.

Wiem, co sobie myślicie. Czerwone wina pija się w temperaturze pokojowej.

Bla, bla, bla.

Powiedzcie to komuś, kto mieszka w tropikach. Powiedzcie to komuś, kto mieszka w miejscu, w którym temperatura wynosi czterdzieści stopni Celsjusza.

No dalej! Zróbcie to!

– Na Festiwalu czegoś tam. – Usłyszałem jej głos z sypialni.

Przechyliłem lampkę do dna i nalałem sobie nową.

– Festiwal czegoś tam – mruknąłem, wsadzając do ust papierosa.

Dla niej wszystko było czymś tam. Wszystko miała w dupie.

– Jesteś jakiś dziwny – stwierdziła, zaglądając do kuchni na dosłownie ułamek sekundy.
Miała na sobie seksowną czarną bieliznę, którą tak bardzo lubiłem. Może i by mnie to ruszyło, gdybyśmy uprawiali seks częściej niż dwa razy w miesiącu. Po prostu sceptycznie podchodziłem do niej, do jej amorów, do jej wszystkiego. Do czegoś tam, jak by to sama powiedziała, co kotłuje się w jej głowie.

Zresztą co mi tam. Mieszkała w moim mieszkaniu i, co prawda, to ona robiła pranie, ale to ja byłem dodatkowym wyposażeniem. Byłem drugim stolikiem do kawy. Byłem lalką. Jedną z wielu, które dostawała od rodziców, z tą tylko różnicą, że ja oddychałem, pisałem i piłem. A oprócz tego udawałem, że wszystko jest w porządku.

Byłem jej własnym płatkim śniegu.

– Powtórz – poprosiłem, upijając kolejny łyk. – Nie mogę się skupić.

Wydawało mi się, że nie usłyszała, bo już zniknęła w łazience, ale po chwili znowu pojawiła się w progu kuchni, naciągając przez głowę czarna sukienkę.

– Mówiłam, że jesteś jakiś dziwny – powiedziała, marszcząc nos.

– Trzeźwy.

– Słucham?

– Jestem trzeźwy. Dopiero wypilem pierwszą lampkę.

– Deo – mruknęła wyraźnie niezadowolona. – Znowu zaczynasz z tym swoim artystycznym czymś tam. Masz humorki?

– Nie, mówię poważnie...

– Zapnij mi zamek z tyłu – poprosiła, odwracając się i odgarniając włosy z karku.

Westchnąłem cicho, wyciągnąłem papierosa z ust i razem z lampką wina położyłem go na szafkę.

Kiedy byłem już blisko niej, zamiast zapnąć zamek błyskawiczny, objąłem ją w pasie i pocałowałem w ucho.

– Pokochamy się? – zapytałem.

– Chyba cię pojebało – warknęła, zupełnie jakby sama propozycja seksu ze mną napawała ją odrazą. – Nie mam na nic czasu, a ty znowu zaczynasz ze swoim smętym pieprzeniem? Zresztą kochaliśmy się w zeszłym tygodniu...

– Dziesięć dni temu – odparłem, odsuwając się od niej i zapinając jej zamek jednym szybki ruchem.

– Ała – syknęła. – Uważaj trochę... Przyciąłeś mi skórę.

W milczeniu wsadziłem papierosa do usta i odpaliłem go od kuchenki gazowej. Zaciągnąłem się głęboko i nie wypuszczając dymu z płuc, napiłem się wina.

Znowu byłem sam w kuchni.

Przechyliłem lampkę do dna i ponownie ją napełniłem.

Wtedy mnie tknęło.

– Marta, dokąd ty w ogóle idziesz?

W progu mignęła jej obrażona twarz. Jak wiadomość podprogowa.

BŁYSK.

– Mogłabyś odpowiedzieć – powiedziałem spokojnie. Wino zaczęło działać i czułem się nad wyraz spokojnie.

– Tam, gdzie ty. – Usłyszałem jej głos. – Nie osłabiaj mnie, człowieku... Idziemy na bal prawnika. Ty i ja... Za dwie godziny!

– O!

Z idiotycznym wyrazem twarzy spojrzałem na zegarek, ale na tarczy pomiędzy wskazówkami nie było żadnych odpowiedzi.

Nic.

– Ale przecież ja dopiero wróciłem do domu... – wydukałem ze zdziwieniem. – Ja dopiero wróciłem do domu...

– To trzeba było się nie zgadzać! Nie wkurwiał mnie!

Spokój. Wino. Papieros.

Spokój.

Na balu prawnika mają darmowy bar – pomyślałem.

Stałem przy restauracyjnym barze, zamawiając drinka. Po mojej prawej stała Marta, a tuż obok niej Sara, jej najlepsza przyjaciółka. Utrzymywała wobec mnie chłodny dystans. Miała na sobie wyzywającą czerwoną sukienkę, a blond włosy upięła w finezyjny kok. Kątem oka widziałem, jak przygryza słomkę. Jak jej usta się na niej zaciskają.

Westchnąłem, uciekając myślami do Kasi, wyzwolonej kelnerki.

Wsadziłem do ust papierosa i kiedy już próbowałem go odpalić, Marta wyrwała mi go z ust.

– Co ty, kurwa, robisz? – syknęła. – Tu nie można palić.

Gdybym był bardziej trzeźwy, pewnie jakoś bym to skomentował, ale po prostu posłałem jej zmęczone spojrzenie.

Nie miałem ochoty być na tym balu, a co najważniejsze, nie miałem najmniejszego powodu, aby na nim być.

Jedynym argumentem przemawiającym za słusnością bycia tam, był fakt, że Marta twierdziła, iż jej obiecałem. Przed swoim wyjazdem. Podobno zakląłem się na własną duszę.

Odpowiedzieliśmy na zaproszenie znajomej znajomego znajomej i oto byliśmy. Na balu prawnika.

Kurwa.

Mimo wszystko. Mimo tego, że dopiero wróciłem z męczącej podróży służbowej. Mimo tego, że spędziłem z Mirkiem kilka godzin w samochodzie prowadzonym przez jakiegoś

trzydziestoparoletniego sztywniaka.

– Gdzie tu można palić? – zapytał barmana, kiedy postawił przed nami nasze zamówienie.

Młody chłopak uśmiechnął się, podsuwając mi pod nos popielniczkę.

– Nie mamy zakazu palenia. To impreza zamknięta.

Słyszając to, Marta przewróciła oczyma, a ja w milczeniu wsadziłem do ust kolejnego papierosa.

– Dorośnij – powiedziała do mnie. – I przestań się zadreć, na miłość boską. Zachowujesz się jak ostatni mruk – dodała, zniżając głos do szeptu. – Nie chcę, żeby ludzie sobie coś o nas pomyśleli.

Sara nagle przechyliła się w naszą stronę.

– Deo się czymś zadreć? – zagadnęła.

Marta westchnęła ostentacyjnie.

– Jak jechaliśmy taksówką, cały czas truł o tym, że jest alkoholikiem. Że w końcu to zrozumiał i tak dalej...

Sara zachichotała i machnęła ręką.

– Deo, no coś ty!

– To samo mu powiedziałam, ale nie... on dalej swoje.

– Deo, masz jakiś kryzys? – Sara zwróciła się do mnie, ale jakby przeze mnie. Nie potrafiłem nie patrzeć na jej pełne, seksowne usta. – Problemy z pisaniem?

– Misiak – powiedziała Marta, łapiąc mnie za ramię. – Wiesz kim są alkoholicy? To są te wszystkie mendy i śmiecie chlejące pod sklepami, zbierające złom i zebrzące na wodę.

– Naprawdę? – zapytałam, a ironia w moim głosie była lekka niczym letni wiatr.

– Nie wyglądasz na margines społeczny, kochanie – stwierdziła i dała mi buziaka w policzek, a później dokładnie wytarła palcem ślad po szmince.

Dziewczyny zaczęły coś chichotać, a ja dalej paliłem papierosa.

Najwyraźniej rozbawiło je słowo „margines”.

Rzeczywiście, jeżeli popatrzeć na to z innej perspektywy, to może brzmieć egzotycznie.

MAR-GI-NES.

Jak połączenie marimby, ginu i NES-u (Nintendo Entertainment System).

Można umrzeć ze śmiechu, prawda?

– Nie znasz definicji... – powiedziałem nagle na tyle głośno, że dziewczyny przestały chichotać.

– Słucham? – Marta momentalnie zmarszczyła brwi.

– Powiedziałem, że nie znasz właściwej definicji – powtórzyłem wolniej.

– Co ty bredzisz? – zapytała bez cienia wesołości.

Sara obserwowała nas w napięciu.

– Porównałaś alkoholizm do marginalizacji – odparłem, biorąc łyk swojego drinka. – Marginalizacja, czyli, jak to określiłaś, bycie marginesem społecznym... to wykluczenie z udziału w życiu społecznym, rozumiesz? Jednostek, grup społecznych. Wykluczenie społeczne może odnosić się... do procesu wykluczania jednostek i grup albo do stanu wykluczenia. W przypadku wykluczania społecznego jednostek... czyli upraszczając to... przeistaczania się w margines społeczny... tym, co ma na to największy wpływ... czyli jednym z czynników... jest bezrobocie i bieda, a nie alkohol. Jeżeli dochodzi do koncentracji tego typu ludności w przestrzeni geograficznej, wówczas powstaje podklasa, w której wzory zachowań i systemy wartości często podlegają dziedziczeniu przez następne pokolenia. Pod wpływem marginalizacji na obszarach miejskich możliwe jest wytwarzanie się gett. Czyli... Bieda! A alkoholizm to choroba polegająca na nadmiernym spożywaniu alkoholu... – Strzepnąłem papierosa do popielniczki i napiłem się drinka. – Uzależnienie. Toksykomania alkoholowa. Choroba...

– Ja pierdołę – powiedziała Marta po niewyobrażalnie długiej chwili milczenia i odwróciła się do Sary. – Wiem, że za nim nie przepadasz, ale zostawiam was na chwilę samych – szepnęła do niej, myśląc, że nie słyszę, a później napiła się swojego drinka i rzuciła szybkie: – Zaraz wracam.

Sara odczekała, aż Marta całkowicie zniknie z naszego pola widzenia, i przesiadła się na jej miejsce.

– Naprawdę coś cię gryzie, prawda?

– Może – odparłem. – Nie potrafię tego wytłumaczyć... Wyżera mnie to od środka...

– Może pogadaj z kimś? Mam zamiary na świetnego psychoterapeutę...

– Wiesz, że piję codziennie od kilku lat?

Zamrugnęła oczami. Pod tym względem były z Martą identyczne. Jak słyszały coś, nad czym trzeba było się chwilę zastanowić, mrugały, jak pojebane.

Mrug, mrug, mrug.

– Nie przesadzasz?

– Nie.

– Przeszkadza ci to?

Tego pytania się nie spodziewałem.

– Nie wiem... Po prostu uciekło mi... poczucie...

– Czego?

– Tożsamości.

Kiedy wypowiedziałem ostatnie słowo, jej ręka zawędrowała na moje uda, a później dalej.

Zaczęła pocierać ręką mój penis.

Kilka sekund. Krew wypełniała tkanki.

Jakby nigdy nic jej dłoń wróciła na bar.

– Wiem, kim bywasz – powiedziała wyzywająco. – Kiedy będziesz miał trochę czasu, żeby się popieprzyć?

Zastanowiłem się.

– Jeżeli Marta będzie piła w takim tempie... to może nawet dzisiaj.

Zachichotała.

– Proszę cię... Igrasz z ogniem, Deo – mruknęła seksownie. – A powiedz mi... Poprawiło wam się? Jak te sprawy?

– Dwa razy na miesiąc... Nie wiem... Mało... Chyba się nie poprawiło.

– Jezu... Nie wiem, o co jej chodzi. Gdybym jej nie znała, to pomyślałabym, że daje komuś na boku. Ja na przykład nie dałabym rady tylko trzy... Jak patrzę na ciebie, to już robi mi się mokro...

Uśmiechnąłem się. Miło było podobać się kobiecie, nawet jeśli była ona najlepszą przyjaciółką mojej narzeczonej. Pamiętam, jak kilka miesięcy wcześniej na którejś z imprez podeszła do mnie i zaczęła opowiadać o wszystkim tym, co ją podnieca. Z wyznań Marty wiedziała, że nasze pożycie nie jest już takie jak, powiedzmy, na początku, i bez ogródek zaproponowała mi seks. „Tylko seks – powiedziała wtedy. – Po prostu... przyjacielski seks. Wyżyjesz się. Co ty na to?” Byłem tak pijany, że się zgodziłem.

– Wiesz, że poznałam świetnego faceta – zaczęła nagle. – Deo... to chyba jest to... Przez cały weekend nie wychodziłam z nim z łóżka... Wydaje mi się, że w końcu znalazł się ktoś, kto rozbił moją skorupę... Ma firmę budowlaną i chatę pod Warszawą. Polubiłbyś go.

– Wypiję jego zdrowie. Mam nadzieję, że ci się z nim...

– Marta wraca – przerwała mi i przesiadła się na swoje miejsce.

– Okej.

– Zadzwoń do mnie – szepnęła bezgłośnie.

– Okej.

– O czym rozmawialiście? – zapytała Marta, kiedy już zmaterializowała się z powrotem.

Prask i jest.

– Sara mówiła ci już, że zabiera mnie na weekend do SPA? – dodała.

– Nie, ale okej.

– Dużo marudził? Wytrzymałaś z nim? – zwróciła się do niej.

– Nie, nie dużo – odpowiedziała i zachichotała. – Tylko troszkę.

Uderzam Sarę w twarz.

Przemoc zastępuje miłość – staje się dla niej synonimem miłości.

Marta śpi w pokoju obok, kompletnie nieprzytomna.

Wracaliśmy taksówką z bankietu i Sara zaproponowała pomoc w zaprowadzeniu mojej pijanej do nieprzytomności narzeczonej do mieszkania. Kiedy szliśmy do windy, szeptała do mnie, co zrobi z moim penisem.

Błagała, żebym zerznął ją w usta.

Błagała, żebym ją ukarał.

Położyliśmy Martę na łóżku, Sara ściągnęła jej buty i przykryła kocem. Przyglądałem się temu aktowi bliskości z dziwnym poczuciem, że coś jest nie tak. Że nie tak powinno być.

Byłem jednak zbyt pijany.

Uderzam ją w twarz. Ona chichocze. Podwija sukienkę i ściąga majtki. Jej usta proszą o gwałt. Uderzam ją jeszcze raz.

Zaczyna mnie całować, popychając w stronę kanapy.

Moja zezwierzęcona wersja 1.0. Jesteśmy tylko zwierzętami.

Siadam na kanapie, a ona dobiera się do mojego rozporka. Wkłada penis do ust i zaczyna obciągać, jakby od tego zależało jej życie.

Przemoc na bardzo krótką chwilę jest synonimem miłości.

Sara prosi o lanie, wypina w moją stronę kształną pupę i błaga o lanie. Uderzam ją kilka razy paskiem, dopóki nie zaczyna jęczeć z podniecenia. Robię z paska pętlę i zarzucam jej na szyję. Ściskam!

Jesteśmy na podłodze. Wchodzę w nią bardzo głęboko, a później wychodzę całkowicie. Jakbym dźgał ją nożem. Palcami wolnej ręki zaczynam grzebać jej w tyłku.

Zaczyna się rżnięcie.

Zastanawiam się, czy ojciec ją bił, gdy była dzieckiem. Myślę o syndromie sztokholmskim. O bezsilności. O upokorzeniu.

Przenosimy się na kanapę, gdzie zaczynam posuwać ją w usta. Jej paznokcie do krwi orzą moje pośladki.

Błaga o jeszcze.

Wypina się, a ja liżę jej tyłek. Głęboko. Zanurzam w niej twarz. Najpiękniejsza dupa na świecie.

Łapię ją za piersi, powoli wślizgując się penisem w jej ciasny odbyt. Raz za razem. Coraz mocniej.

Jęczy. Sapie.

Marta śpi w pokoju obok.

Marta śpi w pokoju obok.

Moja narzeczona śpi w pokoju obok.

Spuszczam się Sarze do tyłka, a ona zaczyna się wić. Wychodzę z niej, a ona dopada moich ust. Zaczyna mnie lizać.

Błaga o jeszcze.

Daję jej klapsa. Czuję lodowaty dotyk jej ust na języku.

Mój pasek od spodni dalej wisi wokół jej szyi jak krawat.

Chyba naprawdę jestem alkoholikiem... albo po prostu złym człowiekiem. Nie wiem. Przez tamte kilka chwil nie zauważam różnicy. Jestem śmieciem. Nienawidzę się.

Idziemy do łazienki i tam znowu zaczynamy się pieprzyć.

Marta ma takiego kaca, że nawet nie zauważa, że w całym mieszkaniu śmierdzi seksem.

Siedzę przy stole w kuchni i kończę butelkę wina.

Marta jest duchem. Nic nie mówi. Wyciąga z lodówki wodę. Zerka na mnie z nienawiścią i wraca do sypialni.

Słyszała coś w nocy?

Siedzę przy stole i mam to gdzieś.

Już mi po prostu nie zależy.

Aktualizacja. Upgrade. Update. Cokolwiek.

Wersja 2.3.

Restart systemu.

Czas na zmiany.

Byłem średnio wstawiony, kiedy zadzwoniłem do Mirka, aby mu powiedzieć, że rzucam pracę.

– Weź urlop – usłyszałem w odpowiedzi. – Niczym się nie przejmuj.

– To koniec. Mam dość... Nie wytrzymam dłużej...

– Weź urlop.

– Nienawidzę się.

– Weź urlop.

– Nie jestem w stanie funkcjonować... Moje relacje z ludźmi są dysfunkcyjne...

– To zrozumiałem. Weź urlop.

– Chciałbym umrzeć.
– Tak. Na urlopie wypoczniesz.
– Nie chcę już pisać. To jest bezwartościowe... Dla nikogo...
– Plaża. Spacer po plaży dobrze ci zrobi.
– Nikt mnie nie kocha, ja nie Kocham nikogo...
– Albo góry... Pojedź na Śnieżkę.
– Odpierdol się, Mirek! – krzyknąłem. – Ty fałszywy kutasie... zrobiłeś ze mnie potwora, ty skurwysynu! Nauczyłeś mnie takiego życia... a ja nie mogę przestać pić... Byłeś dla mnie jak ojciec... Nienawidzę cię!

A tak naprawdę mówię:

– Potrzebuję przerwy...
– Chcesz wziąć urlop?
– Nie wiem... Muszę się odciąć... Nie mogę pisać... Nie mogę się skupić...
– Spoko.

Zamarłem. Całe moje życie sprowadzone do jednego „spoko”. Wszystkie moje problemy. Alkoholizm. Bieg. Maraton. Niewidzialna ściana, której nie mogę ominąć...

– Nie mogę już brać udziału w tym biegu...

Mirek chrząknął.

– W jakim biegu? Wyścig szczurów, o taki bieg ci chodzi?

– Nikomu nie muszę już nic udowadniać...

– Deo.

– Nie mogę się ruszyć. Duszę się, Mirek...

– Deo!

Chyba zaczynam płakać. Okazuje się, że chyba jestem bardziej niż średnio pijany.

– Deo, czy ty jesteś pijany?

– Nie, wiem... Przecież twierdzisz, że to nie ma dla ciebie znaczenia... Że jestem produktywny... Sam mi, kurwa, powiedziałeś, że nie ma różnicy... więc po co, kurwa, pytasz? Przecież ty nie widzisz różnicy, kiedy jestem trzeźwy... trzeźwy... a kiedy... – Zaczynam się zanosić płaczem.

– Deo... Weź urlop. Po pracy do ciebie przyjadę. Mamy twoje teksty w zapasie. Starczy do dwóch kolejnych numerów... Nic się nie martw... Gdzie jest Marta?

– Jaka Marta? Marta... kocha tylko siebie... myśli tylko o sobie... ty też... skurwy... synu...

– Deo... nie rób głupstw! Ostrzegam cię. Jesteśmy przyjaciółmi...

– Głupstw? – Zaczynam się śmiać. Ocieram łzy zewnętrzną stroną dłoni. – Jestem pierdoloną

imitacją człowieka... Żartem... który wymyślają takie zdegenerowane śmieci jak ty. Jestem twoim żartem...

Cisza.

– Deo nie pij już więcej... Zaraz do ciebie jadę...

– Pierdol się, Mirek! Ja nie piję – odparłem. – Wino to nie alkohol... To krew Chrystusa.

Nacisnąłem czerwoną słuchawkę i rzuciłem telefonem o ścianę.

Restart systemu.

Piiip...

A ja dalej stoję w miejscu. Maraton trwa.

Rano było lepiej.

Mirek przyjechał wedle obietnicy. Przytulał mnie i głaskał po twarzy. Kołysał w ramionach jak niemowlę i opowiadał „świetne” historie. Wszystkie były prawie takie same i zaczynały się od „a pamiętasz?”.

Wszystko, cała ta otoczka, to była magiczna sztuczka. Transfuzja, która miała zamienić złe myśli na dobre, tak jak chorą krew na zdrową. Opowiadki o beztróskich alkoholowych przygodach miały zastąpić te ciężkie, te, przez które stawałem się autodestrukcyjny.

Wysłuchiwanie o tym, jak Miss Mazowska robiła nam striptiz albo jak graliśmy w ubieranego pokera – przeciwieństwo rozbieranego – miało poprawić mi humor. Wspomnienie faktu, że karty mi nie szły i musiałem założyć na siebie trzy pary spodni i czternaście koszul, miało sprawić, iż wszystko wróci do normy i znowu będę chciał pisać.

Taki był jego plan.

Tylko że Mirek nie zdawał sobie sprawy, że słuchając tych wydmuszek, pogrążałem się jeszcze bardziej. Pojęcie dobrych – złych wspomnień nie istniało. Pojawiał się błąd systemu. Ja po prostu nie chciałem tak żyć.

Później nastąpiła zmiana strategii.

Przez jakiś czas Mirek-ojciec wmawiał mi, jaki jestem wybitny. Jak fenomenalnie piszę. Jak wielki mogę być. Jeszcze większy!

Mirek-ojciec, Mirek-totem. Ale czy nie zawsze tak to działało? Chociaż z drugiej strony teraz przynajmniej tego nie ukrywał. Nakreślił relację i przypieczętował ją, pozbawiając złudzeń zarówno mnie, jak i siebie.

Nie byliśmy przyjaciółmi. Nigdy nimi nie byliśmy.

Byłem jego wychowankiem.

Kiedy obudziłem się rano z kanapą odcisniętą na twarzy, Mirek krzątał się w kuchni.

– Rozwaliłeś swój telefon. Musiał cię mocno wkurzyć.

Posłałem zmęczone spojrzenie w kierunku szczątków mojej nowej komórki i wzruszyłem ramionami.

– Marta nocowała u swojej koleżanki czy tam... przyjaciółki... Sara? Tak ma na imię? Naprawdę śliczna...

– Nocowała? – Wydawało mi się, że wszystkie dźwięki i słowa docierają do mnie z opóźnieniem.

– Po naszych pogaduchach i po tym, jak dramatycznie rzuciłeś słuchawką... – Wskazał palcem pozostałości po telefonie, poświęcając im zdecydowanie więcej uwagi niż ja. – ...poinformowałem ją, że nie powinna wracać do domu...

– Poinformowałeś? I to ja niby jestem dramatyczny? – wybełkotałem.

Czułem się jak wrak. Bolał mnie każdy mięsień, a głowa zdawała się ściśnięta jak w imadle. Kac według popularnej definicji jest skutkiem przepicia. Gdy cały organizm choruje, boli głowa, serce kołacze, nogi i ręce trzęsą się jak galareta, a człowiek jest rozdrażniony, rozbity i zdekoncentrowany,

Ja na całe szczęście nie zdążyłem jeszcze wytrzeźwieć, choć w ustach miałem suchy krowi placek. Mogło być o wiele gorzej.

– Zrobiłem ci śniadanie. – Usłyszałem zza wygłuszającej zasłony.

Mirek położył na kuchennym stole dwa talerze z tostami. Na każdym był plasterek łososia i trochę białego sera z cebulką. Zaraz obok nakrycia pojawiły się dwa kieliszki z wódką.

– Musisz walnąć klina, bo będziesz trząść się cały dzień. Wiem, co mówię...

Uśmiechnąłem się gorzko, ale chyba tego nie zauważył.

Wykonałem z dłońmi literę T oznaczającą: „poproszę o czas”, a następnie poszedłem do łazienki. Opłukałem twarz lodowatą wodą, otworzyłem szafkę, wyciągnąłem z niej butelkę płynu do płukania ust Listerine i nalałem sobie nakrętkę. Zacząłem płukać usta, a ich wnętrze paliło mnie żywym ogniem. Znowu musiałem pogryźć się przez sen. Splunąłem do zlewu i zobaczyłem krew. Tego miedzianego smaku nie mógł zabić nawet najsilniejszy mentol.

Za drugim razem opłukałem usta wodą.

Woda po wypluciu była różowa.

Wszedłem do kuchni i bez słowa przechyliłem kieliszek wódki nalany przez Mirka. Ukłucie bólu otrzeźwiło na chwilę moje zmysły, a później ciepło rozlało się po przełyku.

– Klin na kaca jest najlepszy – stwierdził Mirek, po czym wychylił swój kieliszek do połowy i cmoknął ustami.

Tylko że on nie miał kaca.

Kutas.

Usiadłem przy stole i klepnałem się kilka razy w twarz.

– Wiesz, że uzależnienie od alkoholu charakteryzuje się swoistą etiologią? – zagadnąłem. – Alkohol oddziałuje na ośrodkowy układ nerwowy, a ten z kolei reaguje na wszelkie zmiany w składzie chemicznym krwi. To wszystko jest anatomicznym podłożem życia psychicznego oraz umożliwia kontakt z innymi ludźmi. Mowa o uleganiu wpływom społecznym.

– Ja pierdołę, Deo... – Na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

– Substancje psychoaktywne działają na mózg poprzez swoje własności chemiczne i konkurują ze związkami chemicznymi produkowanymi przez układ nerwowy w celu komunikowania się wewnątrz systemu neuronów – mówiłem dalej. – Jednocześnie substancje te uszkodzają struktury mózgowe. Badania neuropatologiczne wykazały, że w porównaniu z grupą kontrolną, u alkoholików trzydzieści procent neuronów płatów czołowych jest zniszczonych. Jest to o tyle istotne, że te właśnie płaty są odpowiedzialne za wyższe funkcje mózgowe, na przykład przewidywanie i planowanie, oraz za hamowanie innych struktur, odpowiedzialnych za zachowania bardziej instynktowne, w tym przypadku agresję. – Wskazałem na telefon, udając, że strzelam do niego z pistoletu. – Bang!

– Zawsze byłem o ciebie zazdrosny, wiesz? Masz jebaną pamięć fotograficzną.

– Nie sądzę.

– Zawsze taki byłeś. Cytowałeś całe strony tekstu i wypowiedzi ludzi, a nie potrafiłeś zapamiętać cholernego adresu albo numeru telefonu. Pan, ja pierdołę, jak ja wszystko analizuję. Dalej męczysz temat alkoholizmu?

– Wczoraj trochę czytałem – przyznałem.

– Właśnie słyszę. Walisz z pamięci całe fragmenty... – Zaczął klaskać. – Brawo, Deo. Jestem z ciebie dumny. Właśnie sam sobie udowadniasz, że nie masz problemu z alkoholem. Ty po prostu za dużo myślisz. Analizujesz każdą otaczającą cię rzecz. Mielisz ją dopóty, dopóki nie doprowadzi cię do szaleństwa. Pałujesz się... Zawsze taki byłeś... Zagubiony... Inny od całej reszty...

– Nie pałuję – powiedziałem i ugryzłem kawałek tosta. Był pyszny, ale przypieczony chleb ciął moje podniebienie bezlitośnie. – Po prostu piję codziennie od... lat... i nikt tego nie zauważył.

– Męczysz mnie twoje ciągłe gadanie na ten temat, wiesz? – Wyraźnie podniósł głos. – Kilka dni temu coś ci odwalilo i mówisz tylko o tym. Tyle lat wszystko było w porządku, a ty...

– Co ja?

– Masz ciągle tą samą śpiewkę. O co ci tak naprawdę chodzi? Masz świetne życie. Śliczną, troskliwą narzeczoną. Jesteś na szczycie, a twoje wypociny regularnie czyta cała Polska... I teraz

nagle mówisz mi, że... cały czas pijesz i że piłeś od zawsze... Że jesteś alkoholikiem... i że, kurwa... – Parsknął śmiechem. – ...że, kurwa, rzucasz pracę u mnie. A jaki niby masz pomysł na siebie? Oświeć mnie!

– Bo to prawda – Odłożyłem tost na talerz i westchnąłem. Nie byłem w stanie więcej zjeść. – To koniec.

Mirek wziął głęboki wdech, wyraźnie próbując się uspokoić.

– Coś ci powiem o alkoholizmie... alkoholicy nie piją codziennie. Ciąg alkoholowy nie może trwać latami, wbrew temu, co możesz o sobie myśleć. Ty po prostu lubisz pić. Lubisz pierdolnąć sobie klina, bo taki, kurwa, jesteś! Teraz uzalasz się nad sobą, ale tak naprawdę gównem o tym wszystkim wiesz!

– Ty z pewnością wiesz więcej. – Prychnąłem.

Słyszając to, walnął pięścią w stół. Mirek-ojciec zniknął bezpowrotnie.

– Ty gnojku! – warknął. – Czego chcesz?

Nie będę udawał, że mnie to zaskoczyło, ale mimo wszystko unikałem jego spojrzenia.

– Czego chcesz, pytam? Chcesz więcej kasy? Chcesz, kurwa, zarabiać więcej? Dobrze! Masz to załatwione. Chcesz pojechać na dupy? Pojadę z tobą. Czego, kurwa, chcesz?

– Chcę drugiego klina.

Zamrugnął oczami.

– Mirek, wydaje mi się, że może masz rację... – rzuciłem nonszalancko. Byłem jak mały kogucik. – Może moje zachowanie to naprawdę wołanie o pomoc. Może to nie alkoholizm. Może naprawdę lubię pić. A być może... Po prostu być może... Muszę lubić pić, bo to jedyna alternatywa, żeby jakoś funkcjonować w świecie, którego... kurwa... nienawidzę! – wycedziłem ostatnie słowo przez zęby. – Potrafisz sobie to wyobrazić? Nie ma żadnego konkretnego powodu. Po prostu. Jest tylko niewidzialna ściana, której nie mogę ominąć... jestem sam... Stoję, kurwa, w miejscu.

– Masz mnie – szepnął, a w jego oczach zobaczyłem ból.

– Nie... – wybuchnąłem śmiechem. – O nie, kurwa... Jeżeli myślisz, że wyprę się rzeczy, które powiedziałem ci wczoraj przez telefon, to jesteś w błędzie...

– Beze mnie byłbyś dzisiaj nikim. Wyciągnąłem cię z jakiejś pipidówki... Dałem ci szansę...

– No właśnie. Jesteś głównym powodem tej rozmowy. Bo... wiesz... jeżeli odrzucimy wszelkie pobudki finansowe, a co ważniejsze... zabierzemy ci satysfakcję z robienia czegoś... Przestajesz się, kurwa, oszukiwać i zorientujesz się, że nie ma żadnego celu... Że całe życie składa się tylko z tego, jakie masz o sobie mniemanie... To okaże się, że po prostu jesteś gównem.

– Chcesz się zabić? Tego chcesz?

– Nie – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Ja już po prostu nic nie chcę.

– To nie działa w ten sposób!

– Nie?

– Nie.

– W takim razie chcę, żebyś nalał mi kolejnego klina. Chcę, żebyś przyjął do wiadomości, że kończę z pracą dla ciebie. Chcę zapalić papierosa.

– To wszystko? – zapytał w końcu, patrząc na mnie jak na śmiecia, którym rzeczywiście byłem. Może w końcu przestał się oszukiwać?

– W sumie nie... – odparłem. – Chcę też, żebyś stąd wypierdalał, bo o ile dobrze pamiętam, nikt cię tu nie zaprosił.

Mirek chrząknął i wstał od stołu.

– Masz miesiąc wymówienia – powiedział przyciszonym głosem. – Masz przesłać ostatni felieton do końca przyszłego tygodnia.

– Mogę ci go wysłać nawet dzisiaj...

– Jest mi ciebie szkoda – zaczął nagle, kiedy już myślałem, że wyjdzie i zostawi mnie w spokoju. – Naprawdę mało wiesz. Kiedy byłem w twoim wieku, przeżyłem załamanie psychiczne i trafiłem do zakładu. Myślisz, że jesteś taki nihilistyczny. Taki, kurwa, ja niczego nie potrzebuję. Smutne... Smutne jest to, że dokonałeś absolutnego osądu na wszystkim, co cię otacza...

Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że ociera łzę.

– Kiedy... Kiedy tak naprawdę jeszcze tak mało wiesz... Na przykład o problemach małżeńskich... – Uśmiechnął się. – Ty nawet nie masz jeszcze żony... W twoim wieku myślałem, że największym problemem jest to, że żona już nie jest tak chętna do dawania mi dupy jak na początku... Spróbuj z kimś przeżyć dwadzieścia lat...

– Co to ma do rzeczy? – Poiroytowałem się.

– Gównu wiesz o picciu! – ryknął, aż się wzdrygnąłem. – Właśnie to! Ty mały, genialny gnojku. Wszystko ci przychodzi tak zajebiście łatwo. Zawsze chciałem być taki lotny jak ty... Myślisz, że masz załamanie systemu wartości? Myślisz, że życie nie ma sensu? Może rzeczywiście... Taki, kurwa, jesteś. – Tym razem usłyszałem wyraźną pretensję. – Matematyczny, a z drugiej strony amatematyczny. Z jednej starszy i bardziej doświadczony ode mnie, a z drugiej głupi jak pierdolony but i trzeba cię niańczyć. Wyświadcz mi przysługę... zanim oblejesz się benzyną i podpalisz tylko po to, żeby wszystkim utrzyć nosa: napisz drugiego *Ulyssesa* albo coś... W przeciwieństwie do mnie, możesz to zrobić...

– Po co? Nie lubię Joyce'a.

– Po gównu. Masz swój cel. – Urwał. – A później możesz, kurwa, zdechnąć!

Piiip.

Restart systemu.

Wersja 2.3 stabilna.

Ochrona antywirusowa: działa.

Firewall: działa.

Wykryto konia trojańskiego.

– Nie dam się zmanipulować, Mirek – powiedziałem. – Nie weźmiesz mnie pod włos. Jesteś szczywany, ale wciskając mi takie bzdury, nie spowodujesz, że nasunie mi się głęboka refleksja i nagle wszystko wróci do normy... Mówisz to, co każdy chciałby na moim miejscu usłyszeć. Jestem twoją pacynką. Spełniam twoje wydumane ambicje. Pierdol się... To koniec.

Nagle poczułem uderzenie i silna ręka zacisnęła mi się na karku.

– Zniszczę cię – syknął. – Wypierdolę cię na całego, skoro tak bardzo tego chcesz. Wypierdolę cię tak, jak pierdoliłem twoją Martę... Właśnie tak...

Gdy to usłyszałem, w moim gardle momentalnie pojawiła się wielka gula.

– Twoja żona... – wysapałem z trudem, kiedy już mnie puścił. – Nie zdziwiła się, że w domowej apteczce brakuje viagry? – zapytałem i uśmiechnąłem się nieprzyjemnie.

Pięść spadła na moją potylicę jak młot. Błysnęło mi przed oczyma. Uderzenie było bardzo silne, ale nie wymierzone. Mimo to zrobiło mi się słabo.

– Nie będziesz się zachowywał, jakbyś był lepszy ode mnie... – powiedział, zamierzając się do drugiego ciosu, ale w ostatniej chwili skapitulował. – Głupie gównu!

Mirek-ojciec. Mirek-totem.

– Życie jest okrutne i złe – wyszeptalem. – Masz swojego drugiego *Ulyssesa*.

Wyszedł, trzaskając drzwiami od mieszkania.

Dotknąłem delikatnie miejsca na głowie, w którym już zaczął pojawiać się wielki siniak, a później sięgnąłem przez stół i złapałem jeszcze w połowie pełen kieliszek Mirka.

Do widzenia.

Siedem godzin później znowu byłem w tej samej chromowanej kuchni. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem, ale wszystko wydawało się tak sterylne i tak obce, że czułem się, jakbym siedział w kosmicznym laboratorium. Ekspres do kawy i blender z każdym kolejnym kieliszkiem wina coraz bardziej wyglądały jak narzędzia do walki z obcymi, a nie jak narzędzia gospodarstwa domowego. Ridley Scott byłby dumny.

Kiedy Marta wróciła do domu, zdążyłem skończyć już drugą butelkę, a także wskoczyć

w garnitur, odwiedzić bank i kupić w aptece specjalną pastę na krwawiące dziąsła.

Jestem praktyczny.

– Pijesz – stwierdziła, stając w progu i wlepiając we mnie spojrzenie pełne pretensji. Miała na sobie czerwony płaszcz.

– Zauważyłaś – odparłem, puszczając do niej oko. Nie potrafiłem przestać myśleć o tym, jak Mirek ją posuwał. Ciekawe, czy lizał jej dupę.

– Pojeb – syknęła w moim kierunku. Było w tym coś naprawdę krzepiącego. W końcu okazała mi jakąś prawdziwą emocję poza wiecznymi pretensjami.

Przez chwilę poczułem coś, co można by porównać do ulgi.

– Nasza kuchnia wygląda jak stacja kosmiczna – powiedziałem, unosząc kieliszek jak do toastu. – Jesteś astronautką?

– Co ty pierdolisz?

– Kosmitką? Ups... Houston, mamy problem. Nosicielka obcego na pokładzie... Tszzzz... Tszzzz...

– Mirek do mnie dzwonił. – Wymierzyła we mnie wskazujący palec z czerwonym paznokciem. U niej wszystko musiało być pod kolor. – Czy ty jesteś popierdolony? I dlaczego masz wyłączoną komórkę?

– Strasznie dużo przeklinacz... – Parsknąłem śmiechem, słysząc własne przejęzyczenie. – Przeklinacz.

– Podobno rzuciłeś pracę.

– Prze... Prze... klinasz. Przeklinasz.

– Powiedz mi, o co chodzi!

W milczeniu wychyliłem kieliszek do samego dna.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Co my teraz zrobimy?

– Ale... – Próbowałem pozbierać myśli do kupy. – O czym ty mówisz?

– Mirek powiedział, że ci odpierdoliło.

– To cytat?

– Możesz przestać się tak zachowywać? Odpowiedz mi na pytanie! Jak ty sobie teraz wyobrażasz nasze życie, pieprzony egoisto?!

– Ale...

– Myślisz tylko o sobie! Cały czas tylko ja, ja, ja... Jesteś taki, kurwa, beztroski. Aż rzygać mi się chce! – Nawet nie wiem, kiedy zaczęła płakać. – Wyjdziemy na pośmiewisko, nie rozumiesz tego? Co ludzie powiedzą, jak usłyszą, że rzuciłeś pracę w największym magazynie w Polsce dlatego, że masz kaprys! Masz jakiś pomysł? Mirek prosił mnie, żebym przemówiła ci do

rozsądku...

Już chciałem jej powiedzieć, że nie jest to największy magazyn w Polsce, ani też najlepszy, a co za tym idzie – najbardziej poczytny, ale nie powiedziałem. Chciałem też powiedzieć, że nie wszystkie moje zarobki dostaję z jednej pierdolonej redakcji, ale skoro tak myślała, to była po prostu szczerze głupia. Zamiast tego z moich ust wypłynęło:

– Marta, kochanie, czy kiedykolwiek przeczytałaś cokolwiek, co napisałem? – Moje własne słowa zabrzmiały w moich uszach jak poezja.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – ryknęła po chwili. – Co to ma do rzeczy!

Ukryła twarz w dłoniach i zniknęła w przedpokoju. Wystarczyło zadać odpowiednie pytanie i uciekła. Ona też nie miała żadnych odpowiedzi.

Wystraszona aktorka zapomina tekstu i schodzi ze sceny. Kurtyna opada. Przerwa.

Kiedy wróciła do kuchni, nie miała już na sobie płaszcz, a ja nie miałem żadnej konkretnej myśli. Nie płakała, ale miała wyraźnie czerwone oczy.

– Jesteś takim, kurwa, dzieckiem – powiedziała, chodząc tam i z powrotem. Wydawało mi się, że czegoś szuka.

W tej scenie robiłem za rekwizyt. Czułem się jak dziecko, które w przedszkolnym przedstawieniu dostaje rolę drzewa i ma po prostu stać nieruchomo.

– Myślisz tylko o sobie!

Pretensja, pierdolenie, pretensja, pretensja. Patrząc na iskielki gniewu tańczące w jej oczach, zastanowiłem się, jak zareaguje, gdy dowie się, że byłem w banku i wypłaciłem wszystkie pieniądze. Co do grosza. Moje pieniądze, które ona nazywała naszymi, choć w zamyśle chodziło jej o „jej” pieniądze. Schowałem je w skórzanej torbie, która powinna służyć mi jako torba na siłownię. Prezent od niej.

Tylko że ja nienawidziłem siłowni. Nienawidziłem brandzlujących się dziwek i tych prężących się przed lustrem, zakompleksionych małych fiutków. Zupełnie jakby najdroższy karnet i trochę muskulatury miały uczynić z kogoś prawdziwą kobietę albo mężczyzną.

Pokolenie bez tożsamości.

Znalazłem o wiele lepsze zastosowanie torby.

– Z czego się cieszysz?

– Słucham? – zdziwiłem się.

– Siedzisz i uśmiechasz się jak debil.

Ciekawe, czy obciążała Mirkowi. Mnie nigdy tego nie robiła. Była na to za dobra. Jak sama twierdziła: ma za dużo klasy.

Zezwierzęcona wersja 1.0? Wątpię.

– Marta... Skarbie, Kochanie, Rybko, Kwiatuszkę, Myszkę... – zacząłem po chwili. Wstałem z miejsca, a ona wyraźnie lekko się wystraszyła. Zignorowałem to, postąpiłem kilka kroków w kierunku lodówki, wyciągnąłem z niej napoczętą butelkę wódki, z szafki jedną niską szklanę i z powrotem usiadłem na swoim miejscu.

Kiedy dokonywałem rytuału wlewania alkoholu do szkła, Marta wyraźnie patrzyła na mnie z odrazą.

– Co...

– Siedź cicho – warknąłem, a później dodałem już absolutnie spokojnym i ciepłym głosem: – Chciałbym wypić twoje zdrowie, Pączusiu, Złotko, Słoneczko... Właśnie twoje... Cała ta zabawa w związek sprawiła, że naprawdę czułem się normalny. Chodziłem pośród ludzi i czułem się jak oni. Dzięki tobie... Dzięki temu, że byłaś. Mój ojciec powiedział kiedyś, że mało jest porządnych facetów ma tym świecie... że najtrudniejsze jest założenie rodziny i jej utrzymanie. Nie chodzi o pieniądze, tylko o miłość...

– Próbujesz mi powiedzieć, że... zachowujesz się jak psychol, bo wzięło cię na rozmyślanie o miłości?

– Próbuję powiedzieć, że mnie nie kochasz! – krzyknąłem i uderzyłem ręką w blat stołu. – Mylisz, kurwa, miłość z odrazą! Traktujesz mnie jak zło konieczne, a ja czuję się przy tobie, jakbym był niedorozwinięty... kurwa, gorszy od tych wszystkich śmieci, które cię otaczają...

Słyszając to, uśmiechnęła się z wyższością.

Ja tylko wsadziłem papierosa do ust i patrząc jej głęboko w oczy, odpaliłem go.

Chciałem jej powiedzieć, że jest głupią dziwką, że w życiu nie przeczytała żadnej książki, że nawet nie potrafi powiedzieć, jakiej muzyki lubi słuchać. Chciałem jej powiedzieć, że poza tym, że udawaliśmy bycie w związku, nawet przez jedną sekundę tak naprawdę w nim nie byliśmy. Obydwoje potrzebowaliśmy przykrywkę. Ja chciałem czuć się normalnie, jak na zdjęciu z etykiety produktów dla całej rodziny, a ona chciała mieć kontakt z samozwańczą intelektualną elitą pierdolonych ćpunów, alkoholików, pedałów i ludzi, którzy czują się lepsi od innych. Ludzi w ubraniach za kilka – kilkanaście tysięcy, którzy myślą, że coś w życiu osiągnęli. Chciałem jej powiedzieć o tym, co powiedział mi Mirek. Chciałem ją zapytać, czy pozwalała robić mu to bez gumki, ale stwierdziłem, że tego nie zrobię. Nie pozwolę na to, żeby poczuła się jak ofiara. Nie pozwolę, żeby później mogła to wszystko wykorzystać przeciwko mnie.

– Nie jestem swoim pierdolonym garniturem – powiedziałem nagle. – To tylko ubranie, Marta. Zwyczajny ciuch.

Najwyraźniej zbiłem ją z tropu, bo zaczęła mrugać powiekami.

Zaciągnąłem się dymem i nie wypuszczając go z płuc, napiłem się wódki. Dopiero wtedy

zrobiłem wydech i dym zatańczył wewnątrz szkła. Moje własne oko cyklonu.

– Nigdy nie będę taki jak ci fajni aktorzy w fajnych filmach, które lubisz – powiedziałem. – Musimy przestać się oszukiwać.

– Co ty próbujesz mi powiedzieć? – Po raz pierwszy w jej głosie usłyszałem strach.

– Że to koniec.

Zrobiła minę, jakbym ją spoliczkował.

– Jesteśmy zaręczeni! Jak ty to sobie wyobrażasz!

– Nie jesteśmy zaręczeni, bo nigdy ci się nie oświadczyłem – zauważyłem. – To ty cały czas to powtarzałaś... Mówiłaś o ślubie... Cały czas...

Kłamstwo, które staje się prawdą.

– Ty gnoju – wyszeptała. Łzy znowu zaczęły spływać jej po twarzy, ale tym razem było w tym tyle prawdy, że poczułem ukłucie. – Co ty próbujesz mi teraz powiedzieć? Że mnie nigdy nie kochałeś? Że to wszystko... to całe piekło, do którego mnie sprowadziłeś... – Zaczęła mocno gestykulować, pokazując wnętrze kuchni. – To główniane mieszkanie... Że sama tego chciałam? Nigdy tego nie chciałam! Nie jesteś nawet w połowie takim mężczyzną jak te „śmieci,” o których mówisz... Biedny Deus! Biedactwo! A co, kurwa, ze mną? – ryknęła tak głośno, że aż głos się jej załamał. – Co ze mną? Jesteś tak skupiony na sobie i na tym swoim głupim pisaniu, że nie zauważyłeś, że mam depresję! Że jestem nieszczęśliwa!

Wybuchnąłem śmiechem.

– Ty masz depresję? – zapytałem z niedowierzaniem.

– A co, nie mogę? Zarezerwowałeś na wyłączność wszystkie trudne wyrazy? No, powiedz jakąś definicję! Bardzo proszę! Śmiało! Myślisz, że skoro nie czytam twoich głupich książek i nie lubię twoich głupich filmów, to jestem głupia? Ludzie się z nas śmieją, Amadeusz! Wszyscy moi znajomi dziwią się, dlaczego marnuję się przy tobie! Ludzie, którzy skończyli prawo, rozumiesz?!

– Już nie musisz się przy mnie marnować, Marta.

Uderzyła mnie w twarz tak mocno, że w miejscu, w które trafiła jej dłoń, skóra zaczęła palić mnie żywym ogniem. Dobrze, że byłem pijany.

– Wypierdalaj! – ryknęła.

– To moje mieszkanie, Rybko, Kwiatuszku, Słoneczko...

A później dużo innych słów. Dużo innych zdań. Marta tylko patrzyła na mnie wybałuszonymi oczyma, makijaż spływał jej po twarzy, zupełnie jakby dla niej czas stanął w miejscu.

– Czy... czy ty ze mną... zrywasz? – zapytała w końcu.

Wypiłem wódkę, którą miałem w szklance, skrzywiłem się i znowu ją napełniłem. Nawet nie

zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem pijany. Alkohol, do tej pory przyczajony, uderzył we mnie jak rozpędzony samochód.

– Marta... – zacząłem po bardzo długiej chwili, odpalając nowego papierosa. – Opowiem ci kawał o trzech wampirach, które grają w pokera...

Kawał się jej nie spodobał.

I wtedy dopadło mnie poczucie nierzeczywistości. Wydarzenia ostatnich dwóch dni były migawkami, podczas których otaczający mnie ludzie dużo klęli, krzyczeli, bili mnie i byli bardzo ekspresyjni w wyrażaniu emocji. Alkohol jeszcze bardziej potęgował wrażenia oglądania telegraficznego skrótu wydarzeń z mojego życia. Widz, który może się tylko biernie przyglądać.

I oto jestem. Bez etatowej pracy i bez rzekomej „narzeczonej”.

Jedno trzeba było mi przyznać. W czterdzieści osiem godzin zrobiłem to, o czym inni tylko marzą.

Czterdziesty ósmy papieros tego dnia smakował wyśmienicie.

Czwarta butelka wina smakowała jak anarchia.

Wiedziałem, że już nigdy niczego nie napiszę. Nigdy niczego nie zrobię.

Jestem pusty.

A może po prostu nie warto? Może nie o pustkę chodzi, ale o brak miejsca? Skończyło się miejsce na twardym dysku? Brak wolnej przestrzeni dyskowej potrzebnej do wykonywania nowych operacji?

Jedno jest pewne. Wszystko, co robisz, każdy czyn, którego się podejmujesz, i tak ostatecznie zostaje źle zinterpretowany.

Nie wiem, o czym sobie myślałem, idąc do Sary, ale kiedy otworzyła mi drzwi swojego mieszkania, kiedy zobaczyłem ją taką cholernie piękną, poczułem ukłucie i znowu zacząłem płakać.

Bez słowa rzuciła mi się w ramiona, a ja zalany w sztok próbowałem utrzymać się na wyprostowanych nogach. Objąłem ją, pozwalając pojedynczym łzom spływać mi po twarzy.

– Już dobrze... – powiedziała. – Deo, już jest dobrze. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale masz wyłączony telefon...

– Nie jest wyłączony. Rozwaliłem go.

– Ta durna cipa zadzwoniła do mnie i powiedziała, że z tobą zerwała...

– Oficjalne wersje zawsze są krzywdzące – wybełkotałem bez sensu.

Nagle mnie pocałowała.

Nie tego się spodziewałem. Nie wiem, o czym sobie myślałem, idąc do niej, ale było mi

dobrze.

– Jesteś bardzo słony – stwierdziła, odsuwając swoją twarz od mojej. – I troszkę zasmarkany.

Uśmiechnąłem się, słysząc jej słowa. Wtedy przez bardzo krótką chwilę kochałem ją najbardziej na świecie. To uczucie trafiło mnie z taką siłą, że myślałem, iż nie będę w stanie oddychać.

Jak mogłem tego do tej pory nie zauważyć? Moja Sara. Moja zła, myśląca cipą dziewczynka. Sara, która swojego byłego narzeczonego potrafiła zdradzić w jego własne urodziny.

A później...

...wytrzeźwiałem i znowu przestałem się oszukiwać.

Na tym świecie nie ma, kurwa, szczęśliwych zakończeń.

Tym razem nie uprawialiśmy seksu. Po raz pierwszy odnaleźliśmy inny rodzaj bliskości.

Leżała na mnie przytulona tak mocno, jakby bała się, że mogę zaraz zniknąć.

Może było w tym trochę prawdy?

Może próbowałem zniknąć?

Zupełnie jak dziecko, które wmawia sobie, że jak wystarczająco mocno skupi uwagę, to stanie się niewidzialne.

– Myślisz, że byłabym dla ciebie wystarczająco dobra?

Zdziwiłem i próbowałem jednak nie wmawiać sobie za dużo. W pijackim amoku myślałem o jej dotychczasowych facetach i powtarzałem sobie, że tak jak mnie traktuje każdego innego śmiecia. Powtarzałem, że nie mogę sobie za dużo obiecać. Że ona mnie nie kocha, choć przez chwilę może na to wyglądać. Że ona tylko mnie pociesza. Pociesza jednego ze swoich toyboyów.

– Ja chyba cię kocham – wyszeptwała.

Nie kochasz – pomyślałem.

– Myślisz, że... to szalone... Myślisz, że mogłoby się nam udać?

Nie – pomyślałem, a później powtórzyłem tę myśl po stokroć.

– Chciałabym, żebyś mnie kochał – wyszeptwała ponownie. – Jestem nieszczęśliwa, Deo. Tak strasznie nieszczęśliwa.

Nienawidzę cię – pomyślałem.

– Szkoda, że śpisz... – powiedziała i pocałowała mnie w kącik ust. – Życie jest takie nieprzewidywalne. Ty i ja, Deo – mówiła. – Ty i ja... aż do końca świata.

Idiotko – pomyślałem – umarłabyś z odpowiedzialności.

A później tylko: nic z tego nie będzie. Przestań się oszukiwać. Nic z tego nie będzie. Przestań! Przestań, kurwa, przestań!

W końcu otworzyłem oczy i w półmroku zauważyłem, że śpi. Spała już od dłuższej chwili. Wszystko, co usłyszałem, to po prostu moja wyobraźnia. Mam alkoholowe urojenia.

Nie powiedziała ani słowa.

Ona tylko spała. Najlepsza przyjaciółka mojej byłem narzeczonej mnie nie kocha, a ja nie kocham jej.

Naprawdę.

Naprawdę...

O Boże...

W tym popierdolonym świecie nikt nikogo nie kocha.

Maraton trwa dalej.

Mój ojciec nie był złym człowiekiem. Trudno byłoby mi go o cokolwiek obwiniać, nawet jeśli bym chciał. Gdyby jeszcze żył, zapewne miałby mi za złe to, co zrobiłem ze swoim życiem. Jego żelazne zasady i kręgosłup moralny w konfrontacji z moją prawdziwą twarzą sprawiłyby, że z pewnością by się mną brzydził. Był prawdziwym rycerzem w lśniącej zbroi. Tak bardzo nie pasował do tego świata, że umarł.

Tak przynajmniej to sobie tłumaczę.

Na świecie brakuje porządnych gości, bo świat ich po prostu zabija. Częstuje czekoladkami z rakiem i podpala opony mózgowie, chichocząc jak tępy gówniarz, któremu się wydaje, że wyciął komuś świetny żart.

Pokolenie wychowane bez ojców. Szukamy pocieszenia w filmach albo leczymy kompleksy, podrywając i wykorzystując panienki.

Mój ojciec zmarł na raka mózgu, kiedy miałem dwanaście lat. Później już był tylko alkohol, nowy mąż mojej matki, potem mój „przyjaciel” Mirek, jeszcze więcej alkoholu i setka innych złych rzeczy, którym musiałem sprostać zupełnie sam.

– Każdemu wydaje się, że pisze własną historię – powiedział mi kiedyś ojciec. – Każdemu wydaje się, że jest najmądrzejszy i ma prawo oceniać innych. Nie martw się... Życie weryfikuje.

A potem rzeczywiście życie go zweryfikowało.

Nie dostosował się. Nie mógł się pogodzić z myślą, że ludzie są źli, a później umarł.

Pamiętam, jak kiedyś przetrącił sąsiadowi kolana za to, że ten pobił do nieprzytomności swoją żonę. To była jedna z naszych rodzinnych tajemnic. Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć.

– Zaczekaj tu – wyszeptał i poszedł tam, trzymając w ręce łom, który wcześniej kazał mi przynieść z garażu.

Życie weryfikuje, tato.

Twoje zdrowie.

Przykro mi.

Szkoda, że nie zdążyłeś nauczyć mnie, jak być prawdziwym facetem.

Po nocy przyszedł dzień.

Sara przygotowywała dla nas śniadanie, a ja, nadal pijany, wymiotowałem w toalecie. Kiedy się otrząsnąłem, wziąłem prysznic, a później próbując znaleźć płyn do płukania ust, odkryłem w jednej z szafek męską maszynkę do golenia i piankę.

Poczułem takie ukłucie zazdrości, że aż zakręciło mi się w głowie.

Od razu wyobraziłem sobie jakiegoś żonatego kutasa, który przychodzi tu na tyle regularnie, że dosłownie czuje się jak w domu.

Świat jest zły.

– Ogarnij się – warknąłem do swojego lustrzanego odbicia.

Prawda była taka, że nie potrafiłem się ogarnąć. Gdybym miał czym wymiotować, pewnie znowu bym to zrobił.

Świat jest zły!

Biedny, biedny ja.

Musiałem się napić. Musiałem wypić chociaż kropelkę.

Tracisz kontrolę!

Wytoczyłem się z łazienki i nago dotarłem do sypialni, w której leżał mój złożony w kostkę garnitur. Sara zaniepokojona hałasem znalazła się obok mnie w kilka sekund.

– Boże, co się dzieje? – pisnęła, widząc, jak się nerwowo ubieram.

– Wychodzę.

– Deo, co się dzieje? Deo! Deo!

– Ty też mnie nie lubisz. Nie kochasz mnie... Jestem dla ciebie kolejnym kutasem. – Zacząłem krztusić się własnym płaczem. – Też mnie nienawidzisz...

– Deo!

– A ja się tobą brzydzę, dziwko! – ryknąłem.

W rozpiętej koszuli i narzuconej na plecy marynarce ominąłem Sarę i wypadłem z jej mieszkania. Ona biegła za mną i płakała. Prosiła, żebym się zatrzymał. Żebym z nią porozmawiał. Prosiła tak samo jak o to, żebym gwałcił ją w usta i dupę. Prosiła tak samo, jak prosiła wszystkich innych...

Kiedy znalazłem się na dole kamienicy, rękawami marynarki zacząłem przecierać twarz. Uświadomiłem sobie, że jestem bosy. Półbuty musiały zostać w mieszkaniu Sary.

Wytoczyłem się z chodnika wprost na ulicę. Zdążyłem obrócić się jeszcze na ułamek sekundy, żeby zobaczyć Sarę, moją śliczną dziewczynkę, wybiegającą z klatki schodowej, i wtedy zrozumiałem, że straciłem kontrolę. Poniosło mnie. To był błąd. Chciałem do niej wrócić i przeprosić. Przytulić. Powiedzieć jej, że nie byłem sobą. Że to moje lustrzane odbicie. Chciałem jej powiedzieć o niewidzialnej ścianie. O maratonie. O tym, że zamiast żyć, czuję się, jakbym stał w miejscu i walił głową w mur! Zrobiłbym to! Naprawdę! Chciałem się do niej przytulić i po prostu poczuć się bezpiecznie. Chciałem jej zaufać. Chciałem wrócić i zjeść z nią śniadanie.

Właśnie wtedy, kiedy te setki myśli pojawiły się w mojej głowie jak jeden wielki komunikat, kiedy stałem tam na środku ulicy bosy i w rozpiętej koszuli, potrącił mnie samochód. Przeleciałem przez maskę, rozwalając głową przednią szybę srebrnego nissana, przeokołkowałem przez dach, a później nie było już nic.

Awaria zasilania.

INTERLUDIUM

Kiedy stał przy pisuarze, chwiejąc się na nogach, nawet nie podejrzewał, jak skończy się ta noc.

Myślał trochę o Kaśce, ale tak naprawdę cały czas o niej myślał, więc najłatwiej byłoby powiedzieć, że po prostu w jego głowie wszystko odbijało się bezsensownym echem. Prawdę mówiąc: był tak pijany, że nie myślał już zupełnie. W takim stanie co najwyżej można kojarzyć fakty i momentalnie o nich zapominać.

Kaśka. Tak.

– Kocham – wybełkotał sam do siebie.

A później znowu nic.

Walczył przez chwilę z rozporciem, otarł spocone czoło rękawem koszulki i nawet nie zauważył faceta w garniturze przy pisuarze obok. Pierdolony wymuskany lalusz z czarnymi jak smoła włosami pojawił się znikąd. Cholerny wojownik ninja.

Przyglądał mu się i kiedy już chciał coś powiedzieć, jakoś nieprzyjemnie skomentować obecność takiego pedała pod krawatem w takim lokalu jak ten, nagle czknął i dotknął czołem zimnej ściany w poszukiwaniu równowagi.

Znowu nic.

Zawsze była jakaś ściana. Za każdym razem. To dobrze, bo było się czego złapać.

To wszystko.

Stał tak, dotykając głową zimnych kafelków i dalej próbując rozpiąć rozporek swoich wojskowych spodni, kiedy znowu czknął i tym razem poczuł w ustach kwaśną wydzielinę.

Zaraz zrzygam się na swojego fiuta – pomyślał.

Splunął do pisuaru, a później drugi raz.

– 24 czerwca, godzina 23.31. Wypierdoliłem się na schodach – powiedział niespodziewanie facet w garniturze.

– Co? – Zerknął w jego kierunku.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy.

– Nie rozumiem – powiedział lalusz w garniturze.

– Mówiłeś coś, kurwa – wybełkotał z pretensją. To musiała być pretensja.

– Nie – odparł po chwili mężczyzna w garniturze. Próbował zachować powagę i jak najszybciej skończyć temat. – Nic nie mówiłem.

– Taaa? – Spojrzał na niego ostatni raz. Ostatnie podejrzliwe spojrzenie, które powinno przewiercić typa na pół. Rozpieprzyć go na kawałki!

Boom, kurwa, nadciąga kataklizm.

Westchnął nagle, gubiąc wątek, i po prostu zaczął sikać.

Pieprzony pedał – pomyślał, sikając w spodnie. Bogata ciota pod krawatem.

Kiedy znowu spojrzał w prawo, garniturowca już nie było.

– Pedał – szczerknął w ślad za nim. – Pociąłbym cię, kurwo jebana.

Ale to już nie miało znaczenia.

Przy pisuarze obok pojawiła się kolejna postać. Cień człowieka, który dopiero po chwili zaczął nabierać kształtów. Dwie plamy będące oczami, jedna ustami i to buczenie, które dopiero po wyteżonym nasłuchiowaniu zamieniło się w słowa, a później w całe zdania.

Znajoma twarz. Na pewno gdzieś ją widział.

– Chomik. – Usłyszał głos. – Te, stary... Chomik, żyjesz?

– Co?

– Zeszczaleś się w gacie, Chomik.

Spojrzał na swoje spodnie.

– Zeszczaleś się po całości.

Chomik tak naprawdę miał na imię Błażej. Przewisko przyłgnęło do niego dobrych kilka lat temu. Sam zawsze tłumaczył wszystkim, że to dlatego, iż chomikuje, czyli zbiera różne duperele, ale prawda był inna. Po prostu był drobny. Nie wyjątkowo niski, ale zawsze zdecydowanie najmniejszy z towarzystwa.

Chomik Błażej, ale nigdy Błażej Chomik.

Choć zdarzały się wyjątki. Na przykład taki jak ten.

– Te, Błażej. Błażej?

Walenie w drzwi od toalety.

– Chomik ma na imię Błażej? – zapytał drugi głos i wybuchnął śmiechem.- Jaki typ... kurwa, nie wiedziałem, jak on ma na imię.

– Weź stul pysk na chwilę. Błażej! Te, ziomuś, kurwa, weź coś powiedz. Jęknij chociaż, bo zaraz wyważę zamki.

Chwila ciszy, a później znowu walenie w drzwi.

– Żyje. Słyszę, jak spawa. To prawda, że zeszczal się w gacie?

– Zajebał się. Lata po orbicie.

– Może damy mu witaminkę A?

– A kto ty, kurwa, jesteś? Pan aptekarz? Weź stąd wypierdalaj! Jezu Chryste...

Walenie w drzwi.

– Błażej! Ziomuś. Chodź, zabiorę cię na chatę... Tylko otwórz drzwi.

Szczęk zamka.

Chomik klęczał na odrażająco brudnej podłodze i wymiotował do muszli klozetowej.

– Błazej, masz, kurwa, dredy w kiblu. Nie rzygaj na siebie, bo później ich nie doczyścisz...

Wymioty.

– Lepiej się już czujesz?

– Chłopaki, co się tu dzieje?

– Weźcie wypierdalajcie, nie widzicie, że jesteśmy zajęci? Kolega się źle czuje.

– Kocham – wybełkotał Chomik.

Kaśka. Tak.

– Ja ciebie też, kurwa, kocham, Chomik, ale nie jak jesteś oszczany i obrzygany. Wstajesz? Czy czekasz? Jak chcesz, możemy jeszcze chwilę poczekać. Oddychaj.

Poczekali.

Kiedy spędzasz dużo czasu w knajpach, uczysz się improwizować, a Chomik był całkiem dobry w improwizacji.

Głowa w zlewie i strumień lodowatej wody były pierwszym krokiem ku pozornej trzeźwości.

Ochlapanie spodni wodą było krokiem drugim, mającym na celu zamaskowanie dowodów.

– Wychodzimy?

Pytanie zawisło w powietrzu. Cień człowieka przyglądał się Chomikowi z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Błazej, zawijamy stąd? – powtórzył pytanie cień.

– Nie – wydusił z siebie w końcu. – Jeszcze... jeszcze... nie.

– Stary, przed chwilą przytulałeś się do kibla, a twoje włosy pływały razem z twoim pawiem.

Weź się, kurwa, ogarnij...

– Daj mi szluga i gumę...

– Nie mam gumy, Chomik.

Do toalety wszedł ogolony na łyso chłopak w obcisłej koszulce, ściał ich spojrzeniem i podszedł do jednego z pisuarów.

– Cioty – rzucił przez ramię.

Cień to zignorował, a Chomik nawet nie usłyszał.

– Nie masz gumy?

– Nie, nie mam... – powtórzył cień.

– Szluga.

– Znowu, kurwa, nie masz kasy? – Cień westchnął i zaczął przeszukiwać kieszenie. – Z kulką – powiedział, wręczając mu pojedynczego papierosa.

Chomik zaciągnął się głęboko.

– Idę do Kaśki – powiedział. – Muszę... muszę z nią pogadać.

– Chomik, a nie możesz... a nie możesz pogadać z nią, kurwa, jutro? Pojutrze? Kiedy pozbier...

Ale Chomik nie słuchał. Z papierosem w zębach i silnymi zawrotami głowy wytoczył się z toalety. Minął kilka osób i nagle stanął twarzą w twarz z tłumem ludzi na parkiecie.

Głośna muzyka, błyskające światła, dym.

– Kto chciałby zostać moim psem? – ryknął DJ przez mikrofon.

Kilkadziesiąt osób na parkiecie uniosło ręce do góry i krzyknęło.

Wszyscy chcieli.

Głos z jego snu powiedział, że ma mokre spodnie.

Nie. To jednak nie był sen. Chciałby, żeby tak było, ale niestety nie.

– Dlaczego masz mokre spodnie? – zapytała Kaśka. Była śliczna. Miała krótkie białe włosy i kolczyk w brwi. Anielskie niebieskie oczy... Była taka... idealna.

– Kocham cię – jęknął.

Dziewczyna zasłoniła się tacą. Wyglądała już nie jak kelnerka, ale jak rycerz z tarczą.

– Błazej, do kurwy nędzy – syknęła. – Mówiłam ci przez telefon, żebyś się odwalił. Przyszedłeś dzisiaj tutaj? Okej. Wstęp wolny. Ale cały czas się na mnie gapisz. Cały, kurwa, czas. Wiesz, jak się przez ciebie czuję? Odwal się.

Zniknij – pomyślała – błagam cię, zniknij. Kiedy już zaczynała mieć dobry humor, musiał się napatoczyć on. Chomik wszystkich chomików. Kolejny dowód na to, że sprawiedliwość nie istnieje.

– Kaśka... całowałaś się ze mną... coś nas łączy...

– Jezu, kurwa, Chryste – jęknęła, przekrzykując muzykę. – Oto ci, kurwa, chodzi? O lizanko, kiedy byłam upalona? Weź się, człowieku, lecz...

– Kaśka! – ryknął agresywnie i po raz pierwszy w jej lodowatoniebieskich oczach dało się zauważyć strach. – Kocham cię, nie rozumiesz?

– Śmierdzisz rzygami. Nie chuchaj na mnie.

– Kaśka...

– Nie chuchaj na mnie! Jestem w pracy, Błazej! Odwal się. Idź stąd!

– Ale...

– Pozwól mi pracować!

I wtedy pojawił się on. Mężczyzna w garniturze. Pojawił się dokładnie w chwili, w której DJ

zmienił piosenkę. Tłum ludzi na parkiecie zawył z radości.

Garniturowiec jakby nigdy nic podszedł i powiedział coś do Kaśki.

Odwróciła się w jego kierunku, a jej twarz rozpromieniała.

Chomik widząc to, od razu poczuł się gorzej.

Kaśka powiedziała coś do cioty w garniaku i się do niego przysunęła. Przytuliła? Szeptala mu do ucha z dziwkarskim uśmiechem na twarzy.

– Spierdalaj, koleżko! – ryknął w jego kierunku. – Rozmawiam z nią.

Dla podkreślenia wagi swoich słów boleśnie złapał ją za ramię.

Facet tylko sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i pochylił się w jego kierunku.

– Znasz ją? – zapytał z parszywym wyrazem twarzy.

– To moja dziewczyna, ty kurwiszonie w garniturze – ryknął znowu, gotowy do ataku. – Odpierdol się od nas.

Facet się uśmiechnął. Było w nim coś przerażającego. Ręka, która uprzednio zawędrowała do wewnętrznej kieszeni jego marynarki, pojawiła się z powrotem, tym razem z kilkoma banknotami.

– Jak masz na imię? – zapytał, machając mu gotówką przed oczyma.

– Olek – skłamał Chomik.

Pedale jebany – pomyślał, ale nie było już w tym poprzedniej siły.

– Posłuchaj mnie bardzo uważnie, Olek, czy jak ci tam na imię – zaczął garniturowiec. – Weź sobie tą kasę. Tu jest kilka stów. Bierz, kurwa, wszystko, pod warunkiem że dasz spokój tej dziewczynie. Masz się dzisiaj do niej nie zbliżać, kapujesz? Idź sobie na parkiet, pośpiewaj do Jah, ogol te pierdolone dredy, kup sobie trochę trawy, idź na studia... Cokolwiek. Po prostu bierz kasę i spierdalaj, okej?

Chomik patrzył na niego z niedowierzaniem. Jego myśli wędrowały tylko pomiędzy Kaśką i pieniędzmi.

Jestem pijany w trzy dupy – pomyślał Chomik. A później: tam może być co najmniej sześć stówek.

Sześć.

Sześć!

Sześćset złotych pisane, kurwa, słownie.

– Bierz kasę i spierdalaj – powtórzył garniturowiec i wcisnął mu do ręki zwitek banknotów.

Chomik dosłownie zatoczył się do tyłu.

Jeszcze tego nie wiedział, ale nigdy nie miał sobie tego wybaczyć.

Spojrzał w kierunku Kaśki ostatni raz, a później odwrócił się i zatoczył w kierunku

tańczącego na parkiecie tłumy.

– Jestem bezwartościowym śmieciem – szepnął, ściskając gotówkę w ręce.

Po prostu szedł.

Cień czekał na zewnątrz.

On jest dobry – pomyślał Chomik – on zaprowadzi mnie do domu.

Głos z jego snu powiedział, że powinien już wstawać.

– Dziadek, błagam cię – jęknął Chomik.

Starszy mężczyzna popatrzył na wnuka ostatni raz, pokręcił głową z dezaprobatą i wyszedł z obwieszonych plakatami pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Błazej dysząc ciężko, podniósł się z łóżka.

Miał na sobie tylko bieliznę. Zakrywając usta dłonią, zsunął się na podłogę. Bojówki zwinięte w kłębek leżały obok biurka. Dopadł je i nerwowo zaczął przeszukiwać kieszenie. Były jeszcze mokre.

– Błagam, kurwa... Błagam...

Serce waliło mu jak młot.

– Błagam...

Zamarł. Natrafił palcami na zwitek banknotów. Wyciągnął go i spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Zaczął płakać.

– Nie, kurwa... – jęknął, a ślina długą strużką zaczęła kapać na wykładzinę.

Dlaczego? Dlaczego, kurwa, to zrobił?

Rzucił pieniędzmi w kąt pokoju, jak najdalej od siebie.

Czuł obrzydzenie. Miał mdłości.

Zasmarkany szlochał jak dziecko. Rzucił się na spodnie i dalej zaczął przeszukiwać kieszenie.

Potrzebował telefonu. Musiał zadzwonić do Kaśki. Wyjaśnić jej. Powiedzieć, że ją kocha.

Musiał to naprawić.

Złapał za starą Nokię, podświetlił ekran i serce podskoczyło mu do gardła.

Osiem nieodebranych połączeń. Trzy SMS-y.

Ponad połowa połączeń była z zastrzeżonego numeru. Dwa od Chudego.

Chudy! To on wczoraj przyprowadził go do domu.

Kliknął na symbol koperty w telefonie.

Od Chudy: „Chomik, szuka cię policja. Podobno okradłeś jakiegoś dzianego typu, który zna Kaśkę. Jest grubo. Masz przejebane. Zadzwonź”.

Druga koperta.

Od Chudy: „Jestem w klubie. Kaśka liże się z tym typem w gajerze, którego podobno ojebałeś na hajs. Wszyscy pierdolą tylko o tym. Chujowo. Nie wychodź z chaty. Nie dzwoń! Odezwę się”.

Trzecia koperta.

Od Chudy: „Naprawdę ukradłeś mu hajs?”.

To koniec.

Telefon komórkowy wypadł mu z dłoni i stuknął o podłogę.

TO KONIEC!

Jestem skończony – pomyślał.

– Głupia kurwa! – ryknął.

Zerwał się na równe nogi i w napadzie szału zaczął zrywać plakaty ze ścian.

– Kaśka, ty kurwo! – ryczał. Strzępy papieru latały w powietrzu. – Zabiję cię!

– Błazej! – krzyknął dziadek. – Bój się Boga, co ty robisz?

– Co? – ryknął przez łyżę. – Co ja robię?

– Co się stało?

– Co ja robię?! Przemeblowanie, kurwa! Nie widzisz, staruchu jebany?

– Błazej...

Kiedy w końcu się uspokoił i kiedy został sam, po prostu gapił się w pustkę.

W ręce ścisnął wojskowy scyzoryk, który dostał od ojca.

Zabiję tę kurwę – powtarzał w myślach.

Zabiję.

Kaśka, jeszcze tego nie wiesz, kurwiszonie, ale jesteś martwa.

Martwa.

Zimny, jebany trup.

Kaśka, jeszcze tego nie wiesz, ale zapłacisz.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

CZEŚĆ II
ZA NOWY POCZĄTEK

Jej dłoń wędruje po mojej twarzy.

– Kocham cię – szepcze do mnie. – Chciałabym założyć z tobą rodzinę. Już zawsze czuć się bezpiecznie.

Przez chwilę czuję jej ciepły oddech na moim uchu.

Całuje mnie namiętnie.

– Długo ciebie szukałem, wiesz? – mówię i chwytam ją za włosy. Mocno. Wyzwanie, któremu tylko ona może sprostać. Jęczy z rozkoszy. – Przez cały czas byłaś tuż obok...

Chcę się z nią kochać. Chcę ją pieprzyć.

– Cud – mruczy pod nosem, kiedy dotykam jej cipki.

Uśmiecha się, a później wszystko znika. Jej twarz zamienia się w inną twarz, a ja słyszę syrenę.

Nie umarłem.

Żyję.

– Proszę leżeć spokojnie. Pomóż mi go przytrzymać...

Mam w ręce ogromny wenflon i przez ułamek sekundy, przez dosłownie ułamek, naprawdę cieszę się, że to wypadek samochodowy, a nie poparzenie penisa wrzątkiem.

Parówki, fiuta, kutasa, freda, małego, wyjątkowego przyjaciela – myślę.

Tak. Poparzenie byłoby znacznie gorsze. Poznałem kiedyś gościa, który się poparzył. Później wydał książkę kryminalną, której nikt nie chciał czytać.

Chyba jednak mam szczęście.

C i U i D. Trzy litery, o których miałem nie zapomnieć już nigdy.

– Wydarzył się cud – powtórzył lekarz, ściągając okulary jednym płynnym ruchem, a później zlustrował mnie nieprzyjemnym spojrzeniem, jakby próbował dać mi do zrozumienia, że na niego nie zasłużyłem. – Prawdziwy cud – powtórzył, tym razem jeszcze bardziej dobitnie.

Sraty-taty, dupa w kraty – pomyślałem i uśmiechnąłem się kwaśno. Miałem stłuczony bark, a cała lewa strona mojego ciała pulsowała nieprzyjemnie. Do tego dochodziły nudności i ogromne wyrzuty sumienia, a także około osiemdziesiąt pięć kilo nagłej samoświadomości, która z każdą uciekającą chwilą zaczynała mi ciążyć coraz bardziej.

Czy to możliwe, żebym był aż tak nieszczęśliwy, że nie potrafiłem cieszyć się ze swojego cudem uratowanego życia? Czy można stać się własnym nieszczęściem? Użalającym się i żalonym trzydziestoparolatkiem?

– Chyba pan nie docenia swojej obecnej sytuacji – dodał po chwili, najwyraźniej czytając mi w myślach.

Westchnąłem.

– Czy to ma oznaczać, że mogę już iść do domu? Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale... cały ten proces...

Przebieg, ciąg, tok – pomyślałem.

– ...jest męczący... A ja czuję się fatalnie.

I rzeczywiście czułem się fatalnie. Miałem wrażenie, że ktoś ściska mi głowę w imadle.

– Kac – stwierdził lekarz. – Chyba nie muszę panu mówić, jak bardzo był pan pijany w chwili, kiedy przywiozła pana karetka... o dziesiątej rano.

Ostatnie słowa zabrzmiały, jakbym był nosicielem jakiejś obrzydliwej choroby.

Milczeliśmy przez chwilę, a moja twarz mimochodem się wykrzywiła.

– Proszę to powiedzieć mojej przyjaciółce, na którą nawrzeszczałem i z której zrobiłem ostatnią kurwę... Może będę miał taryfę ulgową i jednak pozwoli mi zjeść śniadanie, które dla mnie robiła... – Próbowałem to powiedzieć nonszalancko, ale przez chwilę pomyślałem, że się rozkleję.

Lekarz zawahał się, słysząc moje słowa.

– Biorąc pod uwagę pana stan, to chyba raczej powinna być kolacja – odparł.

Parsknąłem idiotycznie. Miliony ludzi na całym świecie parskają w ten sam sposób, kiedy próbowało zaśmiać się z czegoś, co nie było śmieszne, albo z czegoś, czego nie zrozumiało.

– Panie Amadeuszu, niech pan nie myśli, że pana oceniam... – kontynuował z wprawą. Kiedy artykułował słowa, cały czas składał i rozkładał okulary. Miałem nieodparte skojarzenie z programami edukacyjnymi dla młodzieży. Takimi, w których w osiemdziesięciu procentach przypadków okazuje się po latach, że szalony superprofesorek rznął swoich podopiecznych.

– Co najwyżej lekko poucza... – wtrąciłem się w ten pseudorodzicielski wywód.

– Niech mi pan pozwoli skończyć myśl. Niechętnie, ale przyznaję, że jest pan zaprzeczeniem tego, co twierdzą lekarze na całym świecie – kontynuował.

– Że można przeżyć potrącenie przez samochód?

– Chodziło mi raczej o to, że alkohol może uratować życie.

Westchnąłem po raz kolejny.

– Niech pan skończy pierdolić – mruknąłem.

Lekarz słysząc to, rozdziawił usta, ale po chwili zamknął je, zupełnie jakby zorientował się, że może głupio wyglądać.

– Słucham... słucham?

– Jak pan się nazywa? A zresztą... Mogę pana nazywać „Pierdołę Pierdoły”. W skrócie PP. Okej?

Lekarz chrząknął.

– Wolalbym, żeby pan nie wyrażał się...

– Panie PP, proszę sobie darować pierdolenie pierdół, bo jest pan tak zatroskany, jakby pan odgrywał rolę w jakimś serialu w telewizji... Hej, kurwa, musimy pchnąć akcję do przodu, więc pociśnijmy trochę smętów... Tak chyba teraz mówi młodzież, prawda? Zresztą patrząc na pana... mógłby pan być moim ojcem, więc... w tym przypadku raczej to ja jestem młodzież... a pana pierdolenie pierdół byłoby na miejscu... ale...

Ukryłem twarz w dłoni, bo wyraźnie zgubiłem odpowiedni ciąg myśli.

Marzyłem o szklance wody. Szklance czegokolwiek, co nie byłoby alko...

– Kurwa, rozsypuję się – szepnąłem sam do siebie, wstając z miejsca. Podparłem się mniej delikatnie o oparcie krzesła, syknąłem z bólu i zacząłem kuśtykać w stronę wyjścia. Kuśtyk za kuśtykiem. Resztki dumy miałem głęboko w dupie.

W oficjalnym rankingu na największego dupka w Warszawie obecnie zajmowałem drugie miejsce. Zaraz po Mirku.

– Panie Amadeuszu... – Usłyszałem za plecami.

– Mhm?

– Mam zatroskany ton, bo czeka na pana bardzo zatroskana i piękna kobieta... Mam zatroskany ton, bo podobno dzieje się z panem coś złego...

– To ze światem dzieje się coś złego – syknąłem z większą agresją, niż planowałem. – Z ludźmi, którzy są skończonymi kutasami i nie ponoszą za to żadnych konsekwencji.

– Rzeczywiście bardzo się pan na tym tle wyróżnia – powiedział z absolutnym spokojem i się uśmiechnął.

– Przynajmniej się, kurwa, staram!

Zacząłem się starać – poprawiłem się w myślach.

Lekarz westchnął.

– Niech się pan przestanie miotać jak głupi gówniarz i niech mnie pan wysłucha do końca. Pana osobiste dramaty w rzeczy samej mnie nie interesują. Proszę mi wybaczyć, jeżeli okazałem panu choć cień zainteresowania. Chciałbym pana wypisać, ale musi mi pan poświęcić dwie minuty...

– Trzeba było nie zaczynać od mędrkowania – powiedziałem i podparłem się o framugę drzwi. Zrobiło mi się słabo, a ból w całej połowie mojego ciała dawał o sobie znać. – Naprawdę jest mi bardzo miło, że próbuje pan sprawić, żebym się zreflektował. Ale niestety... nie będzie żadnego katharsis... Niemniej cholernie mi, kurwa, miło, że obydwójce udajemy inteligentnych i że nasze dialogi iskrzą... Sam bym tego lepiej nie napisał... choć tu zaczyna się problem

i wątpliwość... czy ludzie tak ze sobą rozmawiają? Czy może są to pewnego rodzaju uproszczenia w mojej głowie... tak aby przekaz był czytelniejszy... a ja...

A ja... A ja...

AJAJAJAJA

– A ja bym nauczył się wyciągać wnioski. Bym szukał bodźców, żeby ruszyć do przodu.

AJAJAJAJA...

Jak karetka na sygnale, która przywiozła mnie tutaj...

...AJAJAJAJA...

Nagle zapada absolutna cisza. Słysząc skrzypienie składanych i rozkładanych okularów. Brzęczenie jarzeniówki pod sufitem.

Restart systemu.

Lampka gaśnie i zapala się ponownie.

Wszystko wraca do normy.

– Niech się pan przestanie miotać jak głupi gówniarz i niech mnie pan wysłucha do końca. Pana osobiste dramaty w rzeczy samej mnie nie interesują. Proszę mi wybaczyć, jeżeli okazałem panu choć cień zainteresowania. Chciałbym pana wypisać, ale musi mi pan poświęcić dwie minuty...

– Słucham?

Wyrwałem się z zamyślenia. Co zostało wypowiedziane, a co jest tylko moją wewnętrzną tyradą?

– Niech się pan przestanie miotać jak głupi gówniarz... – powtórzył.

– Ha! Kurwa! Dobrze... – Wymierzyłem w niego wskazujący palec. – Ciekawe, czy zaczyna pan swoją gadkę o cudzie... przepraszam... prawdziwym cudzie, ilekroć przywożą panu prawie wyziębionych na śmierć pijaczków z ulicy, a nie gości w garniturach.

– Ależ oczywiście, że nie... Pan jest bardzo wyjątkowy. – Zaakcentował ostatnie słowo do tego stopnia, że aż stało się oślizgłe. – Zresztą lubię czytać pana kolumnę. Do tej pory dawała mi poczucie, że ktoś tam na górze patrzy na to wszystko trzeźwo...

– Kolumnę?

Mierzyliśmy się wzrokiem przez kilka sekund, które równie dobrze mogłyby być minutami albo godzinami.

– Szkoda, że muszę pana rozczarować – powiedziałem. – Nigdy na nic nie patrzyłem trzeźwo.

Kiedy zobaczyłem Sarę na korytarzu, poczułem, jak zalewa mnie fala ciepła. Sara wyglądała na zmęczoną, miała podkrążone oczy, ale nadal była piękna.

Chciałem do niej podejść i ją przytulić. Chciałem ją przeprosić i powiedzieć, że chyba przez przypadek się w niej zakochałem.

Przez przypadek stałaś się najbliższą mi osobą, dziewczyno – pomyślałem. – Jediną osobą, którą mam na tym całym cholernym świecie. A biorąc pod uwagę okoliczności i to, jak funkcjonujemy ze sobą od miesiąca, jest to bardzo, ale to bardzo popierdolone.

Chciałem do niej podejść i powiedzieć to wszystko, a później poprosić, żeby zabrała mnie z powrotem do domu i po prostu mnie pokochała.

Chciałem, ale tego nie zrobiłem.

Zza winkła wyłonili się Marta z Mirkiem. On z kamienną twarzą, a ona z wyrazem męczeństwa wypalonym na czole.

Wmurowało mnie.

Miałem na sobie potargany, brudny garnitur, a na stopach szpitalne kapcie. Stałem tam jak idiota i próbowałem zrobić cokolwiek. Ruszyć się. Powiedzieć coś.

Ale nie potrafiłem.

W ręce ścisnąłem świstek papieru, który dostałem od lekarza.

– Gówno, gówno, gówno, gówniane gówno – szeptałem pod nosem, zmuszając się do poruszania. Podszedłem do nich niechętnie.

Marta była wyjątkowo powściągliwa i zatroskana, a fakt, że tuż za nią stał Mirek, sprawiał, iż sytuacja naprawdę była absurdalna. Dwie osoby, od których chciałem się uwolnić, nagle znowu były przy mnie. Gdyby ktoś namalował ich na płótnie, to ten obraz z pewnością nosiłby tytuł „Powściągliwa i zatroskana Marta z Mirkiem w tle”, a może po prostu „Deo schyla się po mydło” albo coś równie mniej wyszukanego.

– Sara zadzwoniła – wyjaśniła Marta z Mirkiem w tle. – Powiedziała o wypadku... Tak się bałam.

Próbowałem jej nie słuchać. Patrzyłem na Sarę. Moją biedną, wystraszoną Sarę. Partnerkę w zbrodni.

Na kilka sekund nasze spojrzenia się spotkały. Piękne, zaczerwienione od łez oczy. I wtedy zrozumiałem, że nadal mamy swoje tajemnice. Że nic nie wyszło na jaw. Że dalej nic się nie zmieniło. Ja mogę próbować wywrócić swoje życie do góry nogami, ale nie mam prawa oczekiwać tego od innych, bo inni za bardzo żyją w swoich małych zależnościach.

– Jak się czujesz? – Głos Marty z Mirkiem w tle wyrwał mnie z zamyślenia.

Dopiero teraz zauważyłem, że w ręce ma płócienną torbę.

– Przywiozłam ci rzeczy...

Sięgnąłem po torbę, wyszeptałem szybkie „przepraszam” i lekko kuśtykając, poszedłem

w stronę toalety.

Jestem tchórzem rzucającym oskarżenia.

Wyobraziłem sobie, że cała ta sytuacja jest ustawiona i chcą mnie upokorzyć. Musieli zmówić się za moimi plecami. Marta z Mirkiem w tle, a nawet Sara. Oni wszyscy są przeciwko mnie! Padłem ofiarą okrutnego żartu, który miał na celu doprowadzić mnie do szaleństwa.

A później wróciła myśl o tchórzostwie i tak naprawdę zrozumiałem, że teorie spiskowe są bardzo wygodne. Są wygodne zarówno dla mnie, jak i dla polityków i wszystkich innych, którzy lubią rzucać oskarżenia. Którzy lubią i chcą żyć w gniewie. Nie ma żadnej zмовy, tak samo jak nie ma żydowskich organizacji trzęsących światem ani kosmitów, ani ludzi w garniturach, którzy spojrzeniem wywiercają ci dziurę w duszy. Nie ma Boga.

Lubimy myśleć, że ktoś tam na górze ma kontrolę, ale to absurd. Jak ktokolwiek mógłby decydować o losach wszystkich, skoro my sami nie potrafimy decydować o własnym jebanym życiu?

Lubimy teorie spiskowe, bo prawda jest o wiele bardziej przerażająca.

Nikt nie ma kontroli, a świat nigdzie nie zmierza.

Idę korytarzem i nie oglądam się za siebie. Idę, aż znajduję drzwi do toalety.

Zamiast powiedzieć Sarze, że ją kocham, po prostu uciekłem. Nikt się nie zmówił za moimi plecami, bo nikt nie musiał. Sam jestem sobie winien.

Aktualizacja wsteczna. Myślenie o sobie w kategoriach maszyny pozornie ułatwia życie, a tak naprawdę powinniśmy myśleć o sobie w kategoriach dzieci.

Pchnąłem drzwi do toalety, podszedłem do jednej z umywalek i położyłem na niej płócienną torbę. W środku była czarna koszulka polo, džinsy i adidas za trzy i pół stówy. Buty do biegania, w których nigdy nie biegałem. Głodujący w krajach Trzeciego Świata biegają bez butów więcej niż ja w butach.

Z wysiłkiem i sycząc przez zęby, ściągnąłem marynarkę. Była w całkiem dobrym stanie, jeśli weźmiemy pod uwagę to, co w niej przeżyłem. Spodnie nadawały się już tylko do wyrzucenia.

Rozpiąłem pasek i ostrożnie opuściłem spodnie. Na lewym udzie miałem wielkiego krwiaka o nieregularnych krawędziach. Skojarzył mi się z plamą atramentu.

Porównanie warte nagrody Nike.

Wysunąłem pierwszą nogę, na stopach mając cały czas szpitalne piankowe kapcie, a później drugą.

– Dzień dobry – mówię do swojego lustrzanego odbicia. Mam zadrapania na połowie lewej twarzy. Jestem supermęski. Ojciec byłby dumny. – Dzień dobry, kurwa – powtarzam głośniej. Staram się być nonszalancki, ale jedyne, o czym potrafię myśleć, to to, ile czasu spędzamy

zamknięci w kiblach. – *Il buono, il brutto, il cattivo*, pamiętasz?

Pamiętam. Ulubiony film ojca.

– Dzień dobry – odpowiada głos, a ja o mało nie umieram ze strachu. Odwracam się gwałtownie i momentalnie czuję rwący ból w barku i szyi.

Przy kabinach stoi zapłakany chłopiec, na oko dziesięcioletni. Ociera zasmarkany nos, a później zaczyna nieudolnie zapinać rozporek.

Zamek musiał ci się przyciąć o materiał – pomyślałem.

– Najpierw pociągnij suwak w dół, a później znowu spróbuj zapiąć.

Rada od nieznanego faceta bez spodni, który rzuca kurwami na prawo i lewo, bo jest na głodzie alkoholowym.

Wielkie dzięki za taką pomoc.

– Dziękuję – wydukał, dając mi poczucie, że się do czegoś przydałem, a kiedy już poradził sobie z rozporkiem, znowu zaczął płakać. Zasłonił oczy zewnętrznymi stronami dłoni i zaczął iść w moim kierunku.

Mało powiedzieć, że byłem zmieszany. Nie wiedziałem, jak się zachować.

– Wszystko w porządku? – wysiliłem się. – Dobrze się czujesz?

Pytanie dotyczące dobrego samopoczucia było tak samo na miejscu, jak pytanie śpiącego, czy śpi.

Dziesięcioletek podszedł do jednej z umywalek, siłował się przez chwilę z kurkami, a kiedy woda popłynęła letnim strumieniem, wycisnął trochę mydła z dozownika.

– Moja babcia umarła – powiedział, nie patrząc na mnie.

– Kurwa, fantastycznie – szepnąłem. Wiedziałem, że to słyszał, ale nie zrobiło mi się głupio. Fakt, że w ogóle wypłynęło to z moich ust w jego obecności, poświadczał tylko, że muszę się napić. Koniecznie. Po setce na pewno poczułbym się lepiej. – Przykro mi – powiedziałem w końcu, a moje sfatygowane lustrzane odbicie dało mi do zrozumienia, że wypadło to o wiele lepiej niż „kurwa, fantastycznie”.

– Nie o to chodzi – odparł, próbując zakręcić wodę, ale miał mokre ręce i kurki pamiętające wczesne lata osiemdziesiąte cały czas mu się wyslizgiwały.

Zakręciłem wodę za niego.

– A o co chodzi? – zapytałem, patrząc, jak wyciera mokre dłonie w zapłakaną i zasmarkaną twarz. – Ja zawsze wycieram mokre ręce w spodnie – poinformowałem go bezsensownie.

– Pan nie ma spodni – stwierdził.

– Mam. Jedne są na podłodze, a drugie na umywalce. Mam więcej spodni niż ty.

– Nie będę się wycierał w pana spodnie.

– Chodziło mi o to, żebyś...

Westchnąłem.

Chłopak cały czas unikając mojego spojrzenia, zwrócił się z powrotem w kierunku toalet. Wszedł do jednej z kabin i wyszedł, wycierając ręce w długi kawałek szarego papieru toaletowego. Później wysmarkał nos.

– Mój tata powiedział, że babcia tak naprawdę nie odeszła...

– Co to znaczy?

– Że babcia jest teraz wszędzie i widzi wszystko. Cały czas jest przy mnie razem z Panem Bogiem. – Niespodziewanie znowu zaczął płakać. – To jest straszne – wydukał. – Boję się tego, że ona wszystko widzi i wie. Nawet jak robię siku.

Stałem tam i patrzyłem na niego, na chwilę zapominając o własnych problemach.

– Wierzysz w Świętego Mikołaja?

– Nie – odpowiedział, powoli się uspokajając. Mały dorosły i jego pierwsze życiowe rozterki.

Patrzyłem na niego tak długo, aż na mnie spojrzał.

– Przekażesz coś swojemu ojcu? Powiedz mu, że jest prawdziwym Polakiem. Katolicy na całym świecie są z niego dumni. Przekaż mu to.

Straszny ze mnie kutas. Muszę się napić, bo zwariuję.

– Nie wierz w babcię – dodałem po chwili. – Tata... tata kłamał.

W telegraficznym skrócie kolejne dwadzieścia minut wyglądało w następujący sposób:

Mirek wchodzi do toalety. [STOP]

Dalej nie mam na sobie spodni. [STOP]

Mirek stoi i patrzy na mnie. [STOP]

Nie wiem, czy jest mi bardziej głupio dlatego, że... [STOP]

...nie mam spodni, czy dlatego, że Mirek próbuje coś... [STOP]

...powiedzieć. [STOP]

Przepraszam – mówi. [STOP]

Ja tylko milczę. [STOP]

Marta zadzwoniła i powiedziała o wypadku – mówi. [STOP]

Myślałem, że mi serce pęknie – mówi. [STOP]

Ja tylko milczę. [STOP]

Mam nadzieję, że to nie jest moja wina. [STOP]

Nigdy nie chciałem cię zranić. [STOP]

Ja tylko milczę. [STOP]

Trzeba było nie pierdolić mojej dziewczyny – mówię. [STOP]
Ani mnie nie bić, ty stary, zakompleksiony... [STOP]
...sfrustrowany, chlejący każdego jebanego dnia... [STOP]
...capie. Odpierdol się w końcu. [STOP]
Przyjmuję przeprosiny. [STOP]
A teraz pozwól mi się ubrać i dalej uzalać nad sobą. [STOP]
Nie możemy uzalać się tu we dwóch, bo jest za... [STOP]
...mało miejsca. [STOP]
Mirek wychodzi. [STOP]
Ubieram się i też wychodzę. [STOP]
Choć nie mam na to najmniejszej ochoty. [STOP]
Myślę jeszcze o dziwnej sytuacji z chłopcem. [STOP]
Ale później już nic nie myślę. [STOP]

Wyszedłem z toalety w adidasach, dzinsach i czarnej koszulce polo, resztę mojego dobytku włożywszy do płóciennej torby. Próbowałem udawać odświeżonego.

Moja dobrze wychowana, zaktualizowana wersja 2.0. Wersja wyjściowa.

– Sialalalala – mruczę pod nosem i nagle dochodzi do mnie myśl, że może oszalałem. Szybko jednak wkładam ją do wewnętrznej szuflady z napisem „Do przemyślenia” i wyraźnie kuśtykając, zmierzam w kierunku moich „bliskich”. Jedynych bliskich, których miałem. Oni byli ciepłym i oddychającym dowodem na to, jak paskudne stało się moje życie. Zaskakujące, jak błędna może okazać się ogólnie znana i dostępna terminologia. Przyjaciele, którzy nie są przyjaciółmi. Mentor, który jest bardziej żaloszny niż ty sam. Kobieta, która zamiast cię kochać, brzydzi się tobą. Miłość, która nie jest miłością. Partnerstwo, które jest rywalizacją. Wsparcie, które jest obrzydliwą próbą tłumaczenia samego siebie.

Każdy, kto twierdzi, że trudniej jest coś zbudować, niż zburzyć, powinien spróbować zacząć żyć od nowa. Powinien wziąć młot i spróbować to wszystko rozpierdolić. Ciekawe, czy ktokolwiek miałby na tyle samozaparca.

Ja miałem. Zaszedłem za daleko.

Ale na świętowanie i toasty przyjdzie czas później...

Wręczyłem Marcie torbę, jeszcze przez chwilę zastanawiając się, czy pozwalała się łądować w dupę, a później spojrzałem na Mirka w tle, który oprócz bycia w tle Marty awansował na tego, co wchodzi za mężczyznami do toalet, żeby ich przeproszać.

– Bardzo dziękuję, że się zjawiliście – powiedziałem. – Jestem trzeźwy... i żywy... –

Zawiesiłem na chwilę głos. Myślałem o amputacji. O przemocy. O nienawiści. O... miłości? – Gdzie Sara? – zapytałem. Poczułem dziwne ukłucie zazdrości i paniki.

– Co?

– Gdzie Sara?

Marta zaczęła mrugać oczyma, jakby pokopał ją prąd.

Mrug, mrug, mrug.

– Wysłów się albo nic, kurwa, już nie mów – powiedziałem i skierowałem spojrzenie na Mirka. – Gdzie jest Sara? Mirek, możesz mi powiedzieć...?

– Pojechała do domu. Prosiła, żebyś zadzwonił.

– Odwal się od moich przyjaciół. To, że pijany pojechałeś do Sary, to był cios poniżej pasa. Masz nie nachodzić moich przyjaciół! – syknęła w końcu Marta, kiepsko próbując się odgryźć. Jej twarz była czerwona, a ona sama zdawała się być na skraju wybuchu. Nie wiem, na co liczyła. Że po tym, jak przywiezie mi w torbie ubrania, wszystko wróci do normy? Że ją przeproszę za wszystko i znowu pozwolę traktować się jak gówno?

– Mam się odwalić od twoich przyjaciół? – Zaśmiałem się i wskazałem ich palcem. – A wy, kurwa, to niby co? Bolek i Lolek?

– Deo, do kurwy nędzy! – ryknął Mirek w tle, a później dodał spokojnie: – Błagam cię. Przestań. O mało nie zginąłeś. Wróćmy do domu.

– Czyjego domu? Twojego domu? Jej domu? Ona nie ma domu. Zresztą... Przestańcie robić sceny w szpitalu. Poradzę sobie. Dzięki... Dzięki... Nic od was nie potrzebuję. Unieszczęśliwiacie mnie. Naprawdę. Ciągniecie mnie na dno, życie moim kosztem, kosztem mojego zdrowia... pierdolonego zdrowia psychicznego... a co gorsze... pewnie nawet nie robicie tego świadomie.

– Deo!

Trzy.

Dwa.

Jeden.

– Ludzie! Ile razy mam powtarzać, żebyście dali mi spokój? Ile, kurwa, razy? – warknąłem. Byłem jak dziki pies, gotowy rzucić im się do gardeł. – Ile razy mamy przez to przechodzić? Przez telefon? W kuchni? W szpitalu? W, kurwa, kiblu? Pozwólcie mi żyć i dajcie mi spokój. Uważacie, że coś jest ze mną nie tak? Że mam załamanie? Że oszalałem? To przez was! Głównie przez waszą dwójkę. Doprowadziliście mnie do obłądu, a teraz... odpłyńcie stąd. Jak będę potrzebował pomocy, to pójdę na odwyk albo dam się zamknąć w zakładzie. Na pewno, kurwa, nie będę was o nic prosił. I zapamiętajcie moje słowa, bo jestem trzeźwy. Choć wy pewnie i tak nie widzicie różnicy.

Odwróciłem się i zacząłem odchodzić.

Oddalać się, opuszczać, zostawiać – pomyślałem.

Ostatni raz.

Wyjście miałem znacznie lepsze niż wejście. Mniej wątpliwości. Mniej tchórzostwa.

Momentalnie ogarnął mnie spokój. Połowa mojego ciała bolała, głowę bezlitośnie ścisnęło niewidzialne imadło i jeszcze czułem wszechogarniające pragnienie, ale odzyskałem spokój.

Przynajmniej na chwilę.

Rzecz, o której nie pomyślałem, a która była dość istotna ze względu na zaistniałą sytuację, przypomniła się sama, a to za sprawą bezczelnie przystojnego mężczyzny w kremowej marynarce.

Wypadek.

Kręciłem się trochę po holu głównym szpitala, próbując uniknąć ponownego, niechcianego spotkania z Martą i Mirkiem w tle. Nie miałem pieniędzy. Nawet złamanej złotówki. Mój wzrok co chwilę zatrzymywał się na automacie z napojami albo kawą.

Stawałem się swoim własnym pragnieniem. Dosłownie byłem kacem w taki sam sposób, w jaki byłem swoim poturbowanym ciałem.

Miło było stwierdzić, że na trzeźwo świat stawał się trochę mniej bezosobowy. Nagle znowu zacząłem żyć i oddychać w normalnym, pełnym ostrych barw i zapachów świecie. Miła odmiana. Tym bardziej że ostatnich kilka dni, totalnie najebany, spędziłem wewnątrz swojej głowy, gdzie nie liczyło się ani miejsce, ani ludzie. Liczyła się tylko i wyłącznie emocjonalna narracja, gdzie Warszawa i każde inne miejsce nie różniły się od siebie absolutnie niczym. Bo i po co? Ważne były osoby, relacje, uczucia. Tylko że to wcześniej czy później naprawdę może wpędzić człowieka...

Słowo, którego szukałem, to „szaleństwo”, ale „alkoholizm” jakoś bardziej pasował.

Mijałem setki osób, głównie w starszym wieku. Przez chwilę nawet zastanowiłem się, czy spotkam małego chłopca z toalety.

Zadziwiające było to, że nie miałem żadnych refleksji na temat ostatnich wydarzeń, poza wyrzutami sumienia wobec Sary. Tylko i tylko jej. Najwyraźniej mój umysł nie zdecydował jeszcze, czy skutkiem moich ostatnich decyzji jest lot koszący w dół, czy też odwrotnie.

Byłaby z tego książka. Na pewno. Gorzej z zakończeniem. Nie miałem żadnego pomysłu, gdzie zmierzam i co mam robić dalej.

Niewidzialna ściana dalej tam była, a wielki młot, który miał się przez nią przebić, skasował na początek całe moje życie osobiste. To było zamaszyste zamachnięcie się.

Tyle i aż tyle.

Kroki poniosły mnie w kierunku salonu prasowego. Wpadłem na absurdalny pomysł, żeby znaleźć któryś z magazynów, do których piszę, pokazać go kasjerce i namówić ją, żeby kupiła mi coś do picia. Cokolwiek. Woda, sok, napój, nektar, kawa, herbata – cokolwiek. Ostatecznie oczywiście tego nie zrobiłem, ale przynajmniej na okładce jednego z głównianych dzienników zobaczyłem, jaka jest data.

– Dzień dobry – powiedział bezczelnie przystojny mężczyzna w kremowej marynarce. Zaszedł mnie od tyłu, a ja, choć chłonałem wszystko dookoła, zareagowałem z kacowym opóźnieniem. – Amadeusz? – Usłyszałem swoje imię.

Odwróciłem się i stanąłem z nim twarzą w twarz. Sprawiał wrażenie młodszego ode mnie o co najmniej pięć lat. Był elegancki, ale w bardzo naturalny sposób. Warszawiak niższej klasy, co w moim mniemaniu zawsze działało na korzyść.

– Tak?

– Witam, mogę zająć chwilę? – zapytał, wystawił rękę do uścisku, a później podał swoje imię, którego oczywiście nie zapamiętałem.

Zignorowałem to.

– Bardzo mi miło.... Jestem niedoszłym trupem, więc wybacz... ale...

– Wiem – przyznał i opuścił dłoń. – O mały włos cię nie rozsmarowałem po ulicy...

Uśmiechnąłem się kwaśno.

– Cud – mruknąłem i wskazałem go palcem. Wskazywanie ludzi palcem zaczęło wchodzić mi w krew. – Pan kierowca... Cud... ownie.

– Imię jednak zobowiązuje.

– Czyje imię? – zdziwiłem się, mając poczucie, że nie nadażam za jego tokiem rozumowania.

– Amadeusz – wyjaśnił.

– W sensie, że Mozart?

– Nie... Miałem na myśli łacinę.

– Kurwa mać – zakpiłem.

– *Amare* i *Deus*. Miłość i Bóg. Amadeusz to po łacinie „boska miłość”.

Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę, nie zdając sobie sprawy, jak duży wpływ ten dziwny ktoś będzie miał na moje życie. Potracił mnie pieprzony świadek Jehowy – pomyślałem, a później powiedziałem tylko:

– Kup mi coś do picia.

Pierwsze piwo i pierwszy papieros tego dnia smakowały jak długo wyczekiwane śniadanie.

Później było coraz lepiej.

– Nie wezwaliśmy policji, bo chwilę po tym, jak przeleciałeś przez maskę mojego samochodu, próbowałeś wstać o własnych siłach. Twoja dziewczyna zadzwoniła po karetkę...

– Nie pamiętam – powiedziałem zgodnie z prawdą i poświęciłem kilka chwil na myślenie o Sarze w kategoriach mojej dziewczyny. Niestety od razu przypomniałem sobie mój własny, przepełniony nienawiścią ryk i następujące po nim mocne uderzenie samochodu.

Koniec wspomnienia.

Mój nowy towarzysz okazał się mniej sztywny, niż myślałem, i choć dalej nie pamiętałem jego imienia, zacząłem darzyć go pewnego rodzaju sympatią. Zaoferował mi, że podwiezie mnie, gdzie tylko będę chciał, ale ja nie miałem gdzie jechać, a co ważniejsze – nigdzie nie chciałem jechać. Przynajmniej jeszcze nie wtedy.

Stałem na szpitalnym parkingu. W jednej ręce trzymałem butelkę wody, drugą dotykałem pajęczyny pęknięć na przedniej szybie samochodu, który o mało nie odebrał mi życia.

To! Zło!

– Ubezpieczenie to pokryje. – Usłyszałem jego głos.

Tak. Z pewnością.

– Zabierz mnie do jakiejś knajpy... Znasz jakąś? – wydusiłem z siebie, bo czułem, że zaczynam się rozklejać. Nie miałem sił. Potrzebowałem drinka. Chociaż kroplę.

Patrzył na mnie, wzruszył ramionami i wsiadając na miejsce kierowcy, powiedział:

– Też muszę się napić... To był kurewski dzień, prawda?

Żadnego osądzania. Żadnego krzywego spojrzenia. Żadnego moralizatorstwa.

Chyba naprawdę go polubiłem.

– Mogę cię o coś zapytać? – powiedział, gdy siedzieliśmy już w knajpie. Przechylił swoje drugie piwo prawie do dna i otarł usta.

– Możesz.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego wskoczyłeś mi na maskę samochodu?

Parsknąłem śmiechem. Alkohol rozlewał się po moim ciele i powoli wypełniał mnie po brzegi. Brakowało tylko białej i odświeżającej pianki na górze.

– Nie wskoczyłem na twój... przed twój... – zawahałem się. – Nie wskoczyłem.

Mój niedoszły, ale bardzo hojny zabójca sięgnął po paczkę i odpalił papierosa.

– Z mojej perspektywy wyglądało to inaczej – powiedział przez zasłonę dymu.

– To znaczy?

– Bosy i z nagim torsem stałeś na chodniku i coś krzyczałeś do swojej dziewczyny...

Chciałem mu wyjaśnić, że Sara nie jest moją dziewczyną, ale nie potrafiłem.

– A później zatoczyłem się prosto pod koła twojego samochodziku – dodałem. – Coś więcej?

– Gównu prawda, Deo! – Znowu głęboko się zaciągnął.

Jego słowa lekko zbiły mnie z tropu, ale po kilku piwach zawsze robiłem się mniej czujny. W odróżnieniu od niego. Cały czas mnie obserwował i analizował. Zmierzyłem go spojrzeniem, próbując wyczuć jakikolwiek cień zagrożenia, ale w jego oczach nie czaiło się nic, czego powinienem się bać.

No, przynajmniej dopóki znowu nie usiądzie za kółkiem, a ja nie będę akurat pijany przechodził przez ulicę.

Zresztą pewnie zdaniem moich „bliskich” sam byłem dla siebie największym zagrożeniem. Może mieli rację.

– Gównu prawda? – zdziwiłem się.

– Tak.

– Masz zamiar to rozwinąć?

– Spojrzałeś na mnie, jak nadjeżdżałem, potem spojrzełeś na nią. – Mówiąc to, wykonał gest ręką, w której trzymał papierosa, pokazując mi, jak przebiegała linia mojego spojrzenia. – A później wskoczyłeś pod koła...

– Pierdolisz – stwierdziłem stanowczo. – Nic takiego nie pamiętam.

Pan Samochodzik zaczął się śmiać.

– Masz na pieńku ze światem, co?

– Zawsze jesteś taki domyślny? – zagadnąłem. – Witasz mnie w szpitalu łaciną i opowiadasz mi bzdury o moim imieniu... *Amare*, kurwa, *Deus*... A teraz ciągniesz mnie za język... Powinieneś wyluzować. Naprawdę.

Jego twarz momentalnie spochmurniała i choć nie dał tego po sobie poznać, było widać, że moja uwaga go zabolą.

– Jesteś najbardziej krytyczną i wulgarną osobą, jaką ostatnio spotkałem – powiedział.

Uniosłem prawie pustą szklanekę do toastu.

– Za nowy początek – odparłem.

– Co cię tak wkurwia? – zapytał, kompletnie ignorując mój toast.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak. Chcę – powiedział. – Możemy sobie darować grę wstępną i od razu przejść do rzeczy. Jesteś mi to winien... Dzisiaj rano o mało nie zabiłem człowieka. I to przez ciebie! Chcę wiedzieć dlaczego.

Moją twarz wykrzywił brzydki grymas.

– Sprzedaż wiązana? – powiedziałem.

– Chcę wiedzieć, czego tak nienawidzisz? Kiedy pojechałem za karetką do szpitala, nawet... cóż... nie wiedziałem, kim jesteś... czego się spodziewać... Nie zrozum mnie źle... ale kiedy zobaczyłem cię dzisiaj po raz pierwszy... kurwa...

– Źle wyglądałam w polo, wiem...

– Jesteś niewdzięcznym chujem – powiedział i przez dłuższą chwilę było słychać tylko dźwięki przygrywającej w tle muzyki. Zbiór lekkich barowych hitów do usłyszenia prawie w każdej knajpie.

Patrzyłem na niego z lekkim rozbawieniem.

Miły gość – pomyślałem.

Dopiłem piwo do końca i sięgnąłem po jego paczkę papierosów.

– Uwielbiam pijackie rozmowy z nieznanymi – mruknąłem. – Powiedz, czemu jestem niewdzięcznym chujem. Nie podziękowałem za piwo? Mogę ci odkupić całą beczkę... Może okoliczności na to nie wskazują, ale...

– Nie chodzi o piwo, tylko o twoje życie. Kiedy cię zobaczyłem w szpitalu... w ogóle się nie cieszyłeś z tego, że żyjesz. Nie było w tobie pokory...

– Miałem kaca, jestem poturbowany... – Zaciągnąłem się głęboko papierosem. – Teraz jest mi lepiej. Co mam zrobić? Zbudować sobie ze spinaczy biurowych i gumki recepturki wspomagacz uśmiechu? Czego ty ode mnie wymagasz? W ogóle mnie nie znasz.

– Nie o tym mówię... Chodzi mi o to, że... kurwa... przeżyłeś potrącenie przez samochód, człowieku. Jeszcze kilka centymetrów i byłbyś trupem. A ty... nawet się nie ucieszyłeś... Tak jakbyś nie był do końca świadom tego, co się wydarzyło... Chodzisz dalej nabuzowany i wkurwiony... Żadnej refleksji...

– Aż tak widać?

– Może patrzę na to wszystko inaczej, ale... To jest dziwne. Chcę wiedzieć, o co chodzi. Dlaczego chciałeś się zabić...

Westchnąłem.

– Nie chciałem się zabić... – zaprotestowałem bez przekonania. – Ja po prostu utknąłem.

– W jakim sensie?

– Okazało się, że...

No właśnie co? Co się okazało?

– Wypierdoliłem się na schodach.

– Co zrobiłeś?

– Okazało się, że stałem się taki jak oni.

– Jak kto?

– Jak, kurwa, oni wszyscy. – Machnąłem ręką. – Stałem się wszystkim tym, czego zawsze się bałem. Czego zawsze... nienawidziłem? To chyba dobre słowo. Stałem się... wyniosłym i nieposiadającym żadnych zasad kurwiarzem, który obraca się w towarzystwie takich samych... niewdzięcznych chujów... To akurat twoje określenie i to w dodatku całkiem niezłe... Takich samych, myślących tylko o sobie skurwysynów i zimnych jak zamrażarka lachociągów. A najgorsze w tym wszystkim okazało się to, że kiedy sobie to uświadomiłem... Kiedy ta myśl mnie uderzyła, tak samo jak twój cholerny samochód... Kiedy okazało się, że zalewam pałę regularnie od lat, bo tak naprawdę nienawidzę swojego życia... Okazało się, że jestem sam. Moje życie to wydmuszka. Powierzchnowość w drogim garniturze...

– Dlatego chciałeś się zabić?

Wybuchnąłem śmiechem.

– Nie chciałem się zabić, idioto! Co mam jeszcze powiedzieć, żebyś zrozumiał? – wyjaśniłem po raz kolejny tego wieczoru. – Ja chciałem zacząć żyć.

Najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Więc musisz mi wybaczyć brak jakiegokolwiek refleksji... czy pokory... czy jak chcesz to nazwać, po tym jak wdupiłeś się we mnie swoim małym bziumbziudem... – Wsadziłem papierosa w kącik ust i dla podkreślenia wagi swoich słów głośno klasnąłem. – Ja taką życiową refleksję już miałem... Kilka dni temu. Stojąc w kiblu w jakimś śmiesznym mieście pełnym kościołów.

– Co masz zamiar z tym zrobić?

– Coaching – szepnąłem. – Ja pieprzę. Co masz zamiar z tym zrobić? Co mam zamiar... Zamiast mówić, jak bardzo stoję w miejscu i nie mogę się, kurwa, ruszyć, i nie mogę, kurwa, oddychać i jak mi, kurwa, bardzo źle... zastanów się, co zrobić, żeby się ruszyć. Wybacz... Ale ostatnio tylko o tym myślę. O niczym innym. Wałkuję ten temat... – Cmoknąłem ustami. – Cały czas. Dniem i nocą.

– Wskakując pod nadjeżdżające samochody pijany jak wieprz?

– Ha, ha, he, he, ho, ho... zabawne.

Wstałem od stolika i ruszyłem w stronę baru. Po chwili cofnąłem się kilka kroków, wziąłem swoją pustą szklankę i rzuciłem:

– To był sarkazm.

Nad barem wisiało wielkie lustro. Moje odbicie pomachało do mnie, a ja puściłem do niego oko.

– Proszę pana, palimy tylko w strefie dla palących... – powiedział barman.

– Słucham?

– Tam, gdzie pan siedzi ze swoim znajomym, jest strefa dla palących... Przy barze nie można palić.

Moje lustrzane odbicie wymierzyło w niego dwa palce imitujące rewolwer. Egzekucja była bezgłówna i bardzo schludna. Nikt nie zauważył.

Zaciągnąłem się głęboko i wrzuciłem niedopałek do swojego pustego kufła, który następnie postawiłem na blacie tuż przed barmanem.

– Dwie butelki wódki, dwie szklanki, dzbanek... soku? To będzie długi wieczór.

– Jakiej wódki? – Barman próbował ukryć odrazę do mojego zachowania.

– Zimnej i gęstej jak olej? Wybierz coś.

– Mam wątpliwości – powiedział Pan Samochodzik.

Nie wiem, gdzie byliśmy, ale byliśmy tam w sztok pijani.

– Jakie wątpliwości?

– Czy wszystko, co powiedziałeś... Czy ty w to wierzysz? Czy może... może...

Może.

Czubek mojego papierosa zajął się ogniem.

– Chodzi mi o to, że może... może problem jest gdzieś indziej.

Może.

Moje płuca wypełniły się dymem.

– Gdzie? – zapytałem.

– W tobie?

– Problem jest we mnie... Zawsze był.

Z każdym kolejnym słowem ulatywał ze mnie dym.

– Życie nie jest czarno-białe... tak jak ty to przedstawiasz... Ludzie to ludzie... Ludzie popełniają błędy... Życie jest szare. Może... może...

Może.

– Zastanów się nad tym – powiedział mój beczelnie przystojny i pijany przyjaciel INSTANT. Najpierw go nie było, a teraz jest. Masz potrzebę, rozrywasz torebkę, zalewasz wrzątkiem i gotowe. W pełni zdalny do tego, żeby się przyjaźnić i robić te wszystkie rzeczy, które powinien robić przyjaciel. Słuchać. Odpowiadać. Nie oceniać.

Chciałem mu powiedzieć, że już o tym myślałem, o tym wszystkim, o czym z takim przekonaniem mówił, ale że to nie ma sensu. Że mówienie o odcieniach szarości ma na celu

tłumaczenie zachowań ludzi-zwierząt. Istot, które kochają tylko siebie, bo nikt im nie pokazał, że można kochać inaczej.

Wszyscy rzuceni samopas. Każdy trochę dobry i trochę zły.

Chciałem mu powiedzieć, ale zapytałem tylko:

– Gdzie jesteśmy?

– Jesteśmy pijani – wybełkotał.

Ja też nie wiedziałem.

– To właśnie problem dzisiejszej literatury – powiedział, przełykając śniadanie. – I chyba twórczości w ogóle, wiesz?

– Przypomnij mi, jak zesliśmy na tak szlachetny temat – jęknąłem.

Trzymałem twarz ukrytą w dłoniach i próbowałem zwalczyć poranne nudności. Było trudniej niż zwykle. Przez ostatnie dni wyjątkowo dałem sobie popalić. To cud, że jeszcze nie miałem krwi w stolcu.

– Przez twoje filozofowanie przez całą noc – wyjaśnił. – Samo się narzuciło. Próbuje rozładować atmosferę.

– Świetnie ci idzie, Panie Samochodziku.

– Jak mnie nazwałeś?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo zwymiotowałem na podłogę.

– To właśnie problem twórczości w ogóle – powiedział. – Dla jednej osoby książka będzie ważna... będzie stanowiła wyzwanie... godnego towarzysza... może dobrą lekcję.

– Przypomnij mi... jak zesliśmy na tak... – wybełkotałem. Trzymałem twarz ukrytą w dłoniach i próbowałem oddychać.

– Szlachetny temat? – dopowiedział za mnie. – Pod nieobecność mojej żony zarzygałeś mi podłogę w kuchni. Więc... wiesz... temat jakoś sam się narzucił.

– Gdzie jest twoja żona?

– Mówiłem ci już. U mojej teściowej. Wyjechała na cały tydzień. Ojciec się kiepsko czuje...

– Ja też się kiepsko czuję.

– Sugerujesz, że moja żona i teściowa powinny cię doglądać?

Nie skomentowałem tego. Gdybym był w stanie zmusić się do myślenia, pewnie wymyśliłbym coś błyskotliwego, ale nie potrafiłem. Połowa mojego ciała pulsowała tak ogromny bólem, iż myślałem, że zaraz stracę przytomność.

Wtedy on znowu zaczął mówić.

– Skup się na moich słowach – zaczął po chwili. – Zła i dobra literatura. Zła i dobra twórczość. Nie potrafisz stwierdzić, co ją definiuje, tak samo jak nie potrafisz stwierdzić, co jest prawdziwym aktem twórczym, a co zwyczajną pracą rzemieślniczą. Jedyne, co potrafisz, tak samo jak reszta świata, to powiedzieć sobie głośno... to mi się podoba, a tamto mi się nie podoba...

– Nie zrobisz dobrze wszystkim – mruknąłem. – Ale ja to wiem...

– No właśnie. Słuchaj dalej. Napiszesz książkę i jedna osoba powie, że doskonale piszesz o życiu, a druga powie, że nie ma w tym życia ani prawdy. Tak samo z dialogami... Tak ludzie mówią, a tak nie mówią...

– Do czego zmierzasz?

– Że wysnułem teorię dotyczącą pracy zbiorowej. Książka idealna to w założeniu taka, nad którą pracowałoby tysiąc autorów i każdy dorzuciłby coś od siebie. Nie chodzi o samą historię, ale... o styl... o język... o dialogi... szlifowaliby stronę techniczną, tworząc... coś genialnego.

– To niemożliwe. Brzmi ładnie. Ale to niemożliwe.

Wzięłem głęboki oddech.

– No widzisz – powiedział. – Tak samo jest z ludźmi. Życie nie jest czarne i białe...

– Ty chuju... zrobiłeś z gadki o twórczości wykład o życiu? – Zacząłem się śmiać. – To absurd.

– Nie do końca...

– Powiem ci coś na temat twórczości – warknąłem. – Nie warto nic robić, bo i tak zostanie źle zinterpretowane... Jeżeli dla kilku słów uznania warto ryzykować, to twój wybór.

Kolejny głęboki wdech.

Twarz zaczęła mi ciążyć w dłoniach.

– A porównując to na siłę do ludzi... i twojej jebanej szarości, na którą się tak uparłeś... – Czknąłem głośno. – Jak robisz złe rzeczy, to jesteś zły. To cię definiuje. Gdzie tu masz miejsce na szarość? Gdzie jest twoim zdaniem pomiędzy tym, co dobre, a tym, co złe, miejsce na wątpliwe moralnie wybory? Nie każę być nikomu Matką Teresą... ale kurwa... ludzie na dzień dzisiejszy nie potrafią wycisnąć z siebie cholernego minimum. Nie potrafimy być dobrymi partnerami, mężami, ojcami... wszystko robimy na odpiardol.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Tak, tak, kurwa, uważam. Jeżeli jesteś prawie przyjacielem, to nie jesteś nim w ogóle. Jeżeli zdradzasz swoją żonę, to nie powinieneś z nią być, bo to oznacza, że nie chcesz z nią być. Jeżeli szukasz gdzie indziej, to znaczy, że nie jest ci dobrze tu, gdzie jesteś. Ci, którzy chcą wszystko, są żarłocznymi. Ludzie nie mają jaj, żeby podejmować jakiegokolwiek dorosłe decyzje o swoim życiu. Ta twoja szarość to półśrodki... głupie, pierdolone tłumaczenie się przed samym sobą i innymi... Nie

mamy odwagi, żeby decydować o swoim życiu. Zrucham kogoś, może się nie wyda, poczuję się kochany i pożądanym, jak młody bóg – filozofia połowy populacji. Chwilowe realizowanie potrzeb i zachcianek przesłoniło nam pełen obraz.

– Myślisz, że to takie proste?

– A dlaczego nie? – Odśloniłem twarz i spojrzałem na niego zmęczonymi, przepitymi oczyma. – Dlaczego, kurwa, nie? Wszystko wszystkim wolno... Ludzie mają sieczkę zamiast mózgow. A największe gnojki jeszcze utwierdzają się w przekonaniu, że można żyć bezkarnie... i że tak powinno być. Prawa dżungli? Kurwa... Ludzie są pojebani. Z dżunglą nie ma to nic wspólnego... Sam żyję pośród nich i jestem jednym z nich...

Moja twarz znowu znalazła się wewnątrz moich dłoni. Bezpiecznie.

– I to wszystko? – zdziwił się Pan Samochodzik. – Z tym masz problem? To twoja największa życiowa bolączka? Inni?

– Nie... moją największą życiową bolączką jest to... że na własne życzenie stałem się taki sam... gównem wart.

– Hej... zaraz... – zaprotestował. – Sam jeszcze chwilę temu powiedziałeś, że nie warto nic tworzyć, bo zostanie to źle zinterpretowane... więc...

– Mówisz, kurwa, o twórczości? Jakiej twórczości? Co ty możesz o niej wiedzieć? – zaatakowałem go zza moich dłoni. Słowa wylały się spomiędzy moich palców jak jad.

– Nie rozumiem cię – stwierdził, lekko się wycofując z rozmowy.

– Wszystko jest wtórne, a twórczość w dzisiejszych czasach ogranicza się do odtwórczości i szukania nowych rozwiązań na utartych szlakach. Cała twórczość to w większości banda pojebów, którzy pływają się w określeniach typu: twórca, autor, fotograf, muzyk, artysta. Artysta, kurwa. Od zasrania jest artystów. Te wszystkie słowa nic nie znaczą. Na ziemi jest siedem miliardów ludzi. Jeżeli ktoś łudzi się, że wymyślił coś oryginalnego, musi mieć naprawdę najebane na swoim punkcie. To nie wydumane narzekanie na świat...

– A co to jest?

– Kurwa, matematyka.

Cisza.

– Dużo o tym wiesz – zakpił.

Pomyślałem o niewidzialnej ścianie. O tym, że dalej tam jest, że nie zniknęła ani nie przesunęła się nawet o centymetr.

– Cały mój plan nie zakładał, że znajdę się tutaj...

– Miałeś jakiś plan?

– Potrzebę zniszczenia wszystkiego, co mnie otacza. Plan nie był bardzo skomplikowany, ale

trudny w realizacji.

– Udało się?

– Tak. Wszystko poszło świetnie. Zniszczyłem nawet rzeczy, których nie planowałem tknąć. -
Mówiąc to, pomyślałem o Sarze. – Teraz jestem wolny – jęknąłem. – Mogę wszystko...

– Co dalej? – zapytał Pan Samochodzik.

Znowu pomyślałem o niewidzialnej ścianie. Gdyby nie fakt, że w trakcie całego mojego ostrego wywodu trzymałem twarz w dłoniach, co z odpowiedniej perspektywy musiało wyglądać i brzmieć absurdalnie, pomyślałbym, że dotykam jej nosem.

Nic się, kurwa, nie zmieniło!

Dalej jestem w dupie!

– Co dalej? – powtórzył.

Co teraz?

– Jeszcze nie wiem – jęknąłem. – Ale coś wymyślę.

Gdzie jestem?

Od tego prawie wszystko się zaczyna, ponieważ najpierw jest miejsce, a dopiero później świadomość.

Głowa bolała mnie tak potwornie, że zacząłem podejrzewać, że to po prostu skutki wypadku samochodowego i uderzenia, a nie rządów Króla Kaca. Zacząłem kaszleć, a smak, który poczułem w ustach, nie kojarzył się z niczym dobrym.

Otworzyłem oczy i momentalnie je zamknąłem. To była moja jedyna obrona przeciw ostrym jak żyłki promieniom światła.

Maszyneria, którą miałem w głowie, zaczęła powoli startować. System sprawdzał połączenia neuronów i wszystkie potrzebne sterowniki.

– Gdzie ja, kurwa, jestem?

Mój głos odbił się echem od wnętrza... czego?

Wanny. Wielkiej wanny.

Otworzyłem oczy jeszcze raz i zobaczyłem swoje stopy. Na jednej miałem skarpetkę, a druga była całkowicie bosa, z plamami zaschniętej krwi rozsmarowanymi od palców aż po kostkę.

Kto nigdy intensywnie nie pił, nie potrafi nawet częściowo wyobrazić sobie, jakie to uczucie. To zmartwychwstanie. Prawdziwy cud. Nawet Biblia o tym pisze, choć Jezusowi zajęło to całe trzy dni.

Jestem szybszy. Człowiek wyścigówka.

– Pan Samochodzik – powiedziałem sam do siebie i zacząłem się z trudem podnosić z tej

wielkiej metalowej tuby. Pan Samochodzik to mój nowy, jednorazowy przyjaciel.

Od wypadku wszystkie moje wspomnienia były poszarpane i bezsensowne. Pamiętałem wypadek i Sarę, pamiętałem rozmowę z lekarzem, pamiętałem chłopca w toalecie, a później nieprzyjemne starcie z Mirkiem i Martą. Pamiętałem, że Sara zniknęła i że chciałem do niej pojechać, ale zamiast tego...

W szpitalnym holu spotkałem nieznanego, mojego samochodowego oprawcę, Pana Samochodzika, z którym następnie, pomijając grę wstępna, od razu poszedłem w tango i wypilem morze alkoholu, pierdoląc przy tym bezsensownie o sensie życia, literaturze i tym, co mnie wkurwia.

Cudownie.

Najważniejsze jest pierwsze dobre wrażenie.

Wyszedłem z wanny i poczułem rwący ból w barku i w całej lewej połowie mojego ciała.

Tak. Byłem trzeźwy, choć skołowany, i nadal nie wiedziałem, gdzie jestem.

Moje podrapane lustrzane odbicie uśmiechnęło się do mnie szyderczo.

– Dzień dobry, skurwielu – powiedziałem. Próbowałem być przy tym nonszalancki, ale jedyne, o czym potrafiłem myśleć, to co ja tu, kurwa, robię.

Ból i kac sprawiły, że poczułem się realny, czyli jednak nie zwariowałem, choć mogło się tak wydawać.

Alkohol i gniew to złe połączenie.

Podszedłem do zlewu, dotknąłem palcem jednego z zadrapań na twarzy i syknąłem z bólu. Tak naprawdę bolała mnie cała czaszka i szyja. Zupełnie jakby ktoś używał mnie jako młotka do wbijania gwoździ.

Rozejrzałem się po dużej łazience.

Wielka wanna – duża łazienka. Oczywista zależność.

Wziąłem stojący na szafce płyn do płukania ust. Stał tam pośród miliona kosmetyków, damskich i męskich, które w założeniu miały odegnać śmierć. Sprawić, że będziemy wiecznie młodzi, zupełnie jakby likwidowanie efektów starzenia miało wydłużyć nasz czas TU i TERAZ.

Odkręciłem butelkę, myśląc o ulotności życia.

Wszystko jest takie DE, w wszyscy tacy A.

Smak mięty sprawił, że dostałem skurczy w żołądku.

Za nowy start.

Wanna, tak samo jak łazienka i całe mieszkanie, należała do Pana Samochodzika.

Wysoki standard. Mimo moich najszczerzych chęci nigdy nie potrafiłem doceniać mebli,

dywanów czy kontemplować obrazów i kolorowych wykończeń, które kosztowały nieprzyzwoicie dużo.

Choć wyglądałem i poruszałem się jak wrak, potrafiłem wyczuć w tym wszystkim kobiecą rękę.

Dużo kobiecej ręki.

Wszedłem do salonu i zobaczyłem Pana Samochodzika siedzącego przed sześćdziesięciocalowym ekranem z kubkiem czegoś, co wyglądało jak kawa.

– Wziąłem urlop na żądanie – poinformował mnie, a później uniósł w górę dwa palce. – Dwa dni. Na dzisiaj i jutro... Zawiozę cię w to cholerne miejsce.

Dopiero teraz zauważyłem, że miał na sobie niewyjściową pidżamę w groszki.

Chciałem zapytać, co ma na myśli, ale po prostu podszedłem do niego i usiadłem obok na kanapie.

Milczeliśmy, a przez ekran przewijały się słupki i dużo wielkich liczb. Pasek na dole ekranu cały czas informował o wzroście i spadku czegoś, czego i tak nie rozumiałem.

Nieważne. Ja dla odmiany wiedziałem, kto to jest Proust, i tak siedziałem tam w poszukiwaniu straconego czasu.

– O mały włos mnie nie zabiłeś – stwierdził Samochodzik, odkaslnął i upił łyk kawy.

– Ja ciebie? – wychrypiałem. Mój głos brzmiał jak zdarta płyta. – To ja się czuję, jakby potracił mnie samochód...

Samochodzik parsknął.

– Chyba nie muszę ci mówić, że już nie jest wczoraj, tylko jutro – zagadnął.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że od chwili, w której się spotkaliśmy, minęły dwa dni, a nie jeden...

Nie skomentowałem tego. On zrobił to za mnie.

– Zachlaliśmy pierwszej nocy. Następnego dnia zarzygałeś mi kuchnię.

– Rozmawialiśmy o literaturze – powiedziałem.

– W przerwach w rzyganiu. Tak. A później poszedłeś spać. I jest dzisiaj.

Samochodzik złapał za pilota od telewizora, a gdy nacisnął jakiś przycisk, ekran się zminimalizował, ustępując miejsca cyfrowemu datomierzowi.

– Ponad dwadzieścia godzin – stwierdził. – Myślałem, że umarłeś. Rano zerwałeś się z kanapy i jęcząc, poszedłeś do łazienki.

– Wanna.

– Taaaa. – Znowu napił się kawy. – W zasadzie przez chwilę chciałem na ciebie nasikać, ale stwierdziłem... że jeszcze mógłbyś się utopić.

– Nigdy nie kręciło mnie sikanie na siebie. Żona?

– Aga? – Uniósł brew. Naprawdę był bardzo przystojny. – Wraca za kilka dni.

Milczeliśmy przez chwilę i po prostu patrzyliśmy na wielki ekran.

– Dlaczego? – zapytałem w końcu.

Wiedziałem, że nie dostanę żadnej sensownej odpowiedzi. Ludzie czasami robią rzeczy.

– Hmmm?

– Mogliśmy się napić, popierdolić filozoficzne bzdury, a później mogłeś kazać mi wypierdalać. Dlaczego jestem u ciebie?

– Nie wiem.

Wiedziałem, że nie wie. Tak samo nie wiedziałem, dlaczego od momentu, w którym wsiadłem do jego samochodu, znaleźliśmy wspólny język.

– Zresztą... – Urwał na chwilę, szukając odpowiednich słów. – Co to za różnica?

– Mieszkam u ciebie od dwóch dni.

– Sprzątałem twoje rzygowiny. Jesteśmy prawie jak rodzina – zażartował.

Dotknąłem swoich skroni.

– Mam mętlik w głowie. Od wypadku – powiedziałem – cholernie boli mnie głowa.

– Alkohol, zmęczenie, stres... zacząłeś fiksować – odparł jakby nigdy nic. Mój niedoszły zabójca, a później, jak się okazało, anioł stróż, stał się jeszcze prywatnym lekarzem. – Zrzuciłeś na mnie wczoraj taką emocjonalną bombę... – zaczął po chwili. – Zupełnie jakbyś chciał na swojej drodze spalić wszystko. Niesamowite.

– Bombę?

– Tak. Przez chwilę sam zaczynałem wątpić... Nie wiem, jak to określić. To gównno jest zaraźliwe. Zabawne, co? Pomyślałbym, że masz depresję... poważnie... gdybyś nie chodził taki rozjuszony. Wściekły, kurwa, na wszystko jak pies Szatana. Widziałeś *Omen*?

– Miło.

– Czy ja wiem? Człowiek-pies?

– Pies?

– Najebany i wściekły. – Gestem wykonał ruch pokazujący toczącą się z ust pianę. – Cerber.

– Miło – powtórzyłem.

– Ale później zrozumiałem...

– Tak?

– Tak. Że mało daję od siebie. Zrozumiałem, że jak ci nie pomogę, to się spalisz.

– Jesteś bardzo sympatyczny... – przyznałem z lekką ironią. – Ale nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Pomogę ci. Zawiozę cię do tej cholernej ściany.

– Do jakiej ściany?

– Do tej, którą chcesz zniszczyć – powiedział i podniósł się z kanapy. – To jest właśnie różnica między nami. Widzisz mój kubek? Odnajduję w nim spokój. Harmonię. Każdego dnia. Małe rzeczy. Powinieneś spróbować. Małe radości. Znasz teorię małych radości?

Wykrzywiłem twarz w uśmiechu. Byłem pewien, że ćpa albo bierze psychotropy. Albo jedno i drugie. Jego mądrości życiowe, choć miały sens, były tylko prawdami uniwersalnymi. Wróżbami z ciasteczek w rodzaju „ciesz się z małych rzeczy” albo „uśmiechnij się i przestań chlać, bo twoja wątroba źle skończy”.

Rady, których może udzielić ci nawet jebany napis na wewnętrznej stronie nakrętki od napoju, ale zaczynasz w nie wierzyć dopiero wtedy, kiedy mówi ci je psychoterapeuta, któremu płacisz cztery stówy za godzinę. Przykład? Problemy z ojcem. Z autorytetem. Kompleksy. Matka nigdy was nie przytuliła, a wujek albo kuzyn robili to za często. Za dużo masturbacji. Za mało masturbacji. Potrzeba ciągłego udowadniania sobie i światu, że jesteś coś wart. Wyjdź i zacznij żyć. Zacznij od małych celów. Bla, bla, bla. Idź na spacer i poczuj endorfiny.

A teraz poproszę czterysta złotych, masz tu receptę na LIT i wypierdalaj.

Wcale nie mam poczucia, że to upraszcam.

Na ludzi nie można liczyć. Twój psychoterapeuta może mieć zły dzień, bo jego żona ma po dziesięciu latach związku inne priorytety albo jego kochanek chciałby przestać się ukrywać, bo czuje się niedowartościowany. I nagle okazuje się, że twój dzień jest spierdolony, i to nawet nie z twojej winy.

– Mam się napić kawy? – zapytałem Pana Samochodzika.

– Wolisz klin?

Podszedł do przeszklonego regału, otworzył jedną z szuflad i wyciągnął z niej książkę.

– Zauważyłem to dzisiaj rano... Moja żona to czyta. Zawsze sięga po takie starocie. – Rzucił książkę w moim kierunku.

Kiedy zobaczyłem poźółkły papier i nazwisko autora, poczułem dziwny ścisk.

– Znasz go, prawda?

– Tak. Z tego, co wiem, najlepsze, co mam, odziedziczyłem po nim.

– Ujmującą osobowość? – zakpił.

– Piękne jądra.

Pan Samochodzik słysząc to, wybuchnął śmiechem.

– Czym ty się w ogóle zajmujesz? – zapytałem go, a pytanie na kilka chwil zawisło między nami. Pytanie, którego wcześniej nie zadałem, bo jestem egocentrycznym dupkiem.

Wskazałem palcem na ekran telewizora.

– Giełda? Doradca?

Samochodzik wzruszył ramionami.

– To tylko hobby. Jestem udziałowcem.

– Czego? Firmy produkującej samochody, którymi później potrącasz...

– Tak, tak, tak – przerwał mi lekko zniecierpliwiony. – Półnagich, najebanych facetów z pięknymi jajami i ujmującą osobowością. Ale muszę cię rozczarować. Nie w takiej firmie.

– Wal.

Kiedy wymienił nazwę firmy, zamarłem.

– Pierdolisz – parsknąłem. – To niemożliwe.

To naprawdę było niemożliwe.

– Poważnie. Mamy kilka wydawnictw. Kilka gazet. Kilka portali. W zasadzie to ciebie również mam w kieszeni.

– To, kurwa, niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo jeździsz nissanem.

Pan Samochodzik zamarł.

– Tak. Nissanem za ponad czterysta tysięcy. Czy ty w ogóle nie znasz się na samochodach? To był GT-R. Nie obrażaj mnie, kurwa, bo przez taką ignorancję dostaję skurczy.

– Jesteś młody.

– Deo, jestem troszkę starszy niż ty – powiedział pobłaźliwie i poklepał się po twarzy. – Dobre geny... A ty. Cóż... Z całym szacunkiem, ale nie jesteś w najlepszej formie.

Patrzyłem na niego jak na zaciek na ścianie, który nagle zaczął przypominać Elvisa. To „troszkę starszy niż ty” brzmiało w jego ustach tak, jakby dwa dodatkowe lata życia miały uczynić ze mnie milionera. Mydlenie oczu. Kolejny bogacz, który jest zdziwiony, że innych nie stać na telewizor za sześćdziesiąt tysięcy.

– Naprawdę jesteś zaskoczony, co?

Pokazałem palcami, że odrobinę. Głowa momentalnie zaczęła mnie bardziej boleć.

– Jest jednak ważniejsza kwestia – powiedział. Doskonale wiem, kim jesteś... Nigdy nie spotkaliśmy się osobiście. No... przynajmniej do momentu, w którym na ciebie... nie wpadłem. Kurwa, niewiarygodne, co? Jedna z nielicznych osób, która dostaje pieniądze za pisanie tego, co się jej żywnie podoba... ma nierówno pod sufitem. – Odstawił kubek z kawą na szklany stolik.

– Sprzątałeś moje rzygi – powiedziałem cierpko.

Samochodzik wybuchnął śmiechem.

– Nie przyzwyczajaj się. Tak czy inaczej, pomogę ci.

– Jak?

– Ze ścianą.

– Jak, kurwa, mi pomożesz, Rockefellerze?

Cisza. Spojrzenie. Uśmiech.

– Zawiozę cię tam. Najpierw odwiedzimy twoją ukochaną, a później kupimy kominiarki i odpowiednie narzędzia i po prostu pojedziemy. Tylko... – Tu urwał na chwilę, jakby wpadł na dobry pomysł. – ...weźmiemy inny samochód.

– Zawsze na kacu masz tyle energii i dobrych pomysłów?

– Zawsze. Ty nie?

Miałem na sobie czarną koszulę i lekką szarą marynarkę do kompletu z szarymi spodniami, a także czarne buty z szarymi sznurówkami. Ubiór idealnie oddawał stan mojego umysłu. Wyglądałem i czułem się jak sterta popiołu.

Wziąłem prysznic u Pan Samochodzika, ubrałem się w rzeczy, które mi dał, a teraz stałem na klatce schodowej przed drzwiami do mieszkania Sary.

Jeszcze na ulicy, widząc swoje odbicie w szklanej witrynie, zdziwiłem się, jak dobrze to ubranie na mnie leży.

Bez zarzutu – mógłby ktoś powiedzieć.

Jak ułał – mógłby ktoś dodać, gdyby pierwsze określenie nie za bardzo mu pasowało.

Mój przyjaciel INSTANT miał dużo znajomości i wiedział, gdzie mnie zawieść, żebym dostał to, czego potrzebuję, nawet gdybym nie wiedział, że tego potrzebuję. To jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że musi ćpać. Przełknąłem na sucho jedną małą tabletkę Campralu, którą dostałem kilka minut wcześniej na lewą receptę. Małe, białe, z trzema trójkami i pysznym akamprosatem w środku, który ma robić dobrze moim neuroprzekaznikom, czyli hamować głód alkoholowy.

Zapukałem kilka razy. Z drzwiami prowadzącymi na schludną klatkę schodową poradziłem sobie bez problemu, ponieważ znałem kod do domofonu. Zabawne.

Kiedy otworzyła i zobaczyłem ją w progu, nie wyglądała najlepiej. Zupełnie jakby miała za sobą nieprzespaną noc.

– Cześć, Mała – rzuciłem w jej kierunku. – Nie wiem, co powiedzieć...

Patrzyła na mnie przez chwilę, a później jej oczy zeszkliły się łzami. Podeszła do mnie i przytuliła mnie mocno.

Moja Sara.

– Jesteś idiotą – powiedziała.

– Nie wiem, co się ze mną stało. Naprawdę cię przepraszam.

Nawet nie wiedziałem, za co dokładnie ją przepraszam. W moich ustach „przepraszam” brzmiało jak „nie, dziękuję, nie chcę dokładki”, czyli zupełnie nie tak, jak powinno.

– Myślałam, że umrzesz... – Odsunęła się ode mnie na wyciągnięcie ręki i otarła załzawione oczy. – Nikt nigdy nie wyciął mi takiego numeru. Byłam przerażona...

– Sara... – zacząłem.

Kocham cię.

– ...przepraszam. Nie zaplanowałem tego.

Przyglądała mi się przez chwilę.

– Wejź. Zostawiłeś tu swoje rzeczy.

Wewnątrz jak zwykle cudownie pachniało czystością. To mieszkanie pod względem estetyki było bez zarzutu. Nawet niedbale rzucona na stolik książka sprawiała wrażenie precyzyjnie zaplanowanej ozdoby.

– Kupiłeś nowe ubranie?

Opowiedziałem jej o Panu Samochodziku i pobudce w jego wannie, pomijając fragment, w którym powiedział, czym zajmuje się zawodowo. To akurat planowałem zostawić dla siebie. Lubilem go, ale mu nie ufałem.

Sara wbrew wszelkim oczekiwaniom zaczęła płakać.

– Piłeś z jakimś nieznajomym i nocowałeś u niego, zamiast przyjść tutaj?

Uśmiechnąłem się.

– Marta i Mirek... w szpitalu... to było dla mnie za dużo. Myślałem, że... Nie wiem, co myślałem – dodałem szybko.

– Próbowałam do ciebie dzwonić, ale później...

– Nie mam telefonu.

– Wiem. Przypomniało mi się, że go rozwaliłeś. – Pociągnęła nosem, a łzy dalej spływały jej po twarzy. – Chciałam jej powiedzieć – powiedziała nagle, a jej głos stał się lodowaty. – Naprawdę przez chwilę chciałam jej o nas powiedzieć...

– Może powinnaś? – zauważyłem.

– Słucham?

– Może powinnaś jej powiedzieć... wszystko wyglądałoby inaczej – powiedziałem i urwałem na chwilę. – Mirek przyznał się do tego, że ją posuwał... Serio...

Sara rozdziawiła usta ze zdziwienia.

– Marta dała dupy Mirkowi?

Wzruszyłem ramionami.

– Marta Mirkowi, ty mnie... – zauważyłem. – Wesoła rodzinka.

– Nie wierzę – stwierdziła po chwili zastanowienia.

Siedzieliśmy na kanapie. Ona na jednym końcu, ja na drugim. Odległość, która nas dzieliła, w mojej wyobraźni z każdą chwilą stawała się coraz większa. Nie tak sobie wyobrażałem nasze spotkanie. Sam nie wiem, na co liczyłem. Na szybki ślub? Potarłem powieki kciukiem i wskazującym palcem.

Debil.

– Nie wracaj do niej – powiedziała nagle i poczułem ukłucie w sercu. – Moim zdaniem powinieneś przestać inwestować czas w ten związek... Ona nigdy na ciebie nie zasługiwała.

Debil.

– Słucham? Czego mam, kurwa, nie robić? – poczułem się, jakbym dostał w twarz.

Rozgoryczony debil, który pomylił kochankę z miłością swojego życia. Odchyliłem głowę do tyłu i wziąłem głęboki oddech.

Sara, dlaczego mi to robisz?

– Nie wracaj do niej... wyświadczyć sobie przysługę. Nie wierzę w tą sprawę z Mirkiem... po pierwsze jest stary... a po drugie... ona jest jak pniak drewna. Sam przecież wiesz. Nie zdradziłaby cię. Ale nawet jeśli... to nie wracaj do niej... Zrobiłbyś głupotę. Proszę.

– Dzięki za radę. Ale... Ale nie miałem zamiaru...

To była ostatnia rzecz na świecie, którą chciałem zrobić, ale najwyraźniej, jak na dzisiejsze standardy, zachowywałem się zbyt grzecznie. Nie docierało do nich. Nadal nic do nich nie docierało. Może powinienem ogolić Martę na łyso i wyrzucić ją nagą z mieszkania? Może wtedy wszyscy by zrozumieli, że nie chcę do niej wracać? Tylko gdybym to zrobił, to co musiałbym zrobić z Mirkiem?

Sara najwyraźniej się zreflektowała, bo widząc moją minę, natychmiast się do mnie przysunęła i pocałowała mnie.

– Przepraszam. Nie miałam nic złego na myśli. Zostaniesz u mnie kilka dni, dobrze?

– Myślałem, że... – zacząłem bez pomysłu na to, jak powinienem zakończyć. – Że ty... i ja...

Przyjrzała mi się uważnie i nagle zaczęła rozumieć.

– Deo – wyszeptała. – Przepraszam cię...

Powoli podniosłem się z kanapy.

– Dziwne, prawda? – zapytałem jakby nigdy nic. – Kurwa, jesteśmy dorośli... a nie radzimy sobie... sami ze sobą.

Milczała, cały czas patrząc w moim kierunku. Jej oczy znowu się zeszkliły.

– Zostawiłem tu torbę... – zagadnąłem. – Widziałaś ją może?

Mam tam oszczędności swojego życia – dodałem w myślach.

– W sypialni... Deo? Deo, posłuchaj... Ja nie sądziłam, że ty naprawdę...

Nie pozwoliłem jej skończyć. Poszedłem do sypialni, rozejrzałem się i kiedy zobaczyłem torbę, schyliłem się po nią i nagle wybuchnąłem płaczem. Moją pierś wstrząsnął niekontrolowany szloch. Torba wyslizgnęła mi się z rąk i upadła z powrotem na podłogę.

Gdy się odwróciłem, okazało się, że Sara była cały czas za mną. Ściągnęła bluzkę, którą miała na sobie, podeszła do mnie i przewróciła mnie na łóżko.

– Ty idioto – powiedziała, rozpinając stanik. – Wiedziałam, że tak się to skończy.

Dotknęła nagimi piersiami mojej twarzy, a później zsunęła się niżej i rozpięła mi rozporek.

Kiedy zdjęła mi spodnie, zaczęła mnie delikatnie ssać, ale moje ciało odmówiło posłuszeństwa. Wydawało mi się, że penis zacznie działać, ale w przeciągu ostatnich dni zdecydowanie za dużo wypilem. Skończyło się na jej gorących ustach i dobrych chęciach.

– Zakochałam się w tobie – powiedziała nagle i dotknęła mnie tam delikatnie. – Nie martw się. Nadrobimy to, jak odpoczniesz.

– Zakochałaś się?

– Myślisz, że pieprzyłabym się z tobą tak często, gdybym nic do ciebie nie czuła, co? Nie pamiętasz naszej ostatniej rozmowy? Wieczorem? Zanim... to się stało?

– Nie wiem... Mam mętlik w głowie. Od wczoraj nie wypilem ani kropli alkoholu...

Podsunęła się w górę i spojrzała mi głęboko w oczy.

– Zapamiętaj raz na zawsze – zaczęła. – Gdybym nic do ciebie nie czuła, dałabym ci się posunąć tylko raz, tak samo jak wszystkim innym. No... może dwa... Mam kilku przystojnych sąsiadów, więc ciężko się oprzeć, jak spotykasz ich w windzie.

Uśmiechnęła się.

– To żart, debilu. Żartowałam.

Objąłem ją. Mocno.

– Sara, ja nie chcę mieć już z nimi nic wspólnego... z wszystkimi... Chcę zacząć wszystko od początku.

– Od początku?

– Mam nadzieję, że to możliwe...

– Nie zrozum mnie teraz źle... – zaczęła po chwili, ostrożnie dobierając słowa. – Chciałabym spróbować. Naprawdę. Musimy zastanowić się, co z tym zrobić... To nie jest normalna sytuacja i wiesz o tym. – Zaczęła wycierać moją twarz palcami. – Naprawdę dzieje się z tobą coś złego. Rozsypujesz się – dodała i położyła głowę na mojej pierś. – Martwię się o ciebie...

– Ja też się o siebie martwię.

– Twoje serce bije. Więc chyba będziesz żył... kutas też pewnie zacznie działać.

Słyszając to, uśmiechnąłem się.

– Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że... nigdy nie sądziłam, że będziesz mnie chciał? Jak do mnie przyszedłeś pijany jak świnka?

– Tak.

– Naprawdę miałam to na myśli. Po prostu nie wiem, czy jestem na to przygotowana... tak od razu. Nie wiem, czy ty naprawdę tego chcesz. Dawanie ci dupy, a życie z tobą to zasadnicza różnica. Nie mam wprawy w związkach... takich prawdziwych. – Zaczesała palcami pasemko włosów opadające jej na twarz. – Od kilku tygodni sprawiasz wrażenie, jakbyś chciał wszystkim coś udowodnić... ale może... może tylko wyidealizowałeś sobie mnie za bardzo. Czujesz się zraniony i nieszczęśliwy i nagle przychodzisz do mnie. Otwieram drzwi i jesteś tam. Po prostu nie wiem, czy robisz to dla mnie, bo coś do mnie czujesz, czy szukasz pocieszenia. Nie chcę się zaangażować, a później usłyszeć „wypierdalaj, kurwo”. Już to od ciebie usłyszałam, a później o mały włos nie umarłeś.

– Masz rację.

– A jak ze mną nie wytrzymasz? Nie chcę, żebyś nazwał mnie znowu kurwą... Nie chcę tego i nie życzę sobie tego. Tym bardziej nie chcę patrzeć, jak dzieje się z tobą coś złego.

– Działo się ze mną coś złego... przez ostatnie lata, tylko wszyscy mieli to gdzieś. To jest próba odbicia się od dna.

Westchnęła.

– W takim razie idzie ci fantastycznie... Naprawdę świetnie – zażartowała.

Zapadła cisza.

– Zakochałam się w tobie... nawet nie wiem, w którym momencie... ale nie dam się zranić, Deo. Nie pozwolę, żebyś wpadł w moje życie z butami, jeżeli ty sam jeszcze nie wiesz, czego chcesz, rozumiesz?

Kiedy już chciałem coś powiedzieć, przerwał mi dzwonek do drzwi.

– Kurwa mać – Sara syknęła przez zęby i szybko naciągnęła na siebie koszulę nocną.

Podparłem się łokciami na łóżku, syknąłem z bólu i spróbowałem zapiąć rozporek.

Sara wybiegła z sypialni, podskakując na palcach bosych stóp, i dopadła do drzwi wejściowych do mieszkania. W międzyczasie ja z trudem podniosłem się do pozycji siedzącej. Nie wiem, kto to był, ale miałem ochotę pogratulować mu wyczucia czasu.

– Hej, lasencjo. – Usłyszałem męski głos. – Nie sądziłem, że będziesz czekać w negliżu... Świetnie wyglądasz...

– Zamknij się. – Jej szept.

– O co ci chodzi? Wyrwałem się wcześniej z domu, żeby wykorzystać trochę czasu. Myślałem, że się ucieszysz.

Wyszedłem z sypialni do przedpokoju i oparłem się o ścianę. Każdy mój krok był ciężki. Kiedy opalony facet w króciutkich włosach w końcu mnie zobaczył, mina mu zrzedła. Poczułem dziką satysfakcję, choć tak naprawdę miałem ochotę go załuc.

Uniosłem rękę w geście pozdrowienia.

W głowie miałem milion złych myśli.

Sara ukryła na chwilę twarz w dłoniach w taki sposób, jakby chciała zniknąć, a później zakłopotana chrząknęła i powiedziała:

– To jest Amadeusz... – wydukała i wskazała mnie palcem. – A to mój kolega z pracy...

– Pierdolę to – powiedziałem. – Nie obchodzi mnie, jak się nazywa.

Sara postąpiła w moim kierunku kilka kroków.

– Miał podrzucić mnie do pracy... i przyjechał wcześniej... Deo... proszę...

Była ostrożna. Bardzo ostrożna. Najwyraźniej po tym, co zrobiłem ostatnim razem, bała się powtórki.

Zrobiło mi się jej szkoda.

– Słyszałem, co powiedział – dodałem ze spokojem.

– Dobra – odparł nieznajomy. – Ja spadam. Zaczekam na dole...

– Nigdzie nie idziesz – powiedziałem i spojrzałem na Sarę. – Skończymy nasz temat... kiedy indziej... Mam teraz coś do załatwienia. Zadzwoń do ciebie.

– Ale ty nie masz telefonu – powiedziała szybko, a później dodała szeptem: – Proszę cię, nie idź nigdzie. Nie w takim momencie. To pieprzony zbieg okoliczności.

Wszedłem do sypialni, chwyciłem torbę, rozpiąłem ją i wyciągnąłem z niej kilka plików banknotów. Każdy był zawinięty w banderolę z banku.

Resztę zostawiłem tam, gdzie leżała.

Sterta bezużytecznych pieniędzy.

Pierdolę to.

Kiedy wyszedłem z sypialni, jej kolegi z pracy już nie było. Uciekł.

– Deo, zostań... Proszę cię... Przepraszam cię za to... To naprawdę głupi przypadek.

Ja tylko się uśmiechnąłem.

– Myślałem, że masz lepszy gust – powiedziałem.

– To kolega z pracy.

– Naprawdę mam to w dupie, lasencjo. – To słowo zabrzmiało w moich ustach obrzydliwie.

– Czuję się fatalnie... muszę stąd iść. Zejdź mi z drogi.

– Deo, nie rób tego. – Złapała mnie za ramię i mocno ścisnęła. – Spójrz na mnie... To tylko jakiś frajer... Chcę skończyć z tobą naszą rozmowę... Jeżeli teraz wyjdiesz... Nie możesz tego po prostu zignorować?

– Czy to jego maszynka leży u ciebie w łazience? – zapytałem, a jej mina zrzędała jeszcze bardziej.

Westchnąłem.

– Sara, fantazuję o tobie. Nie tylko o rżnięciu, ale o całej tobie. Jeżeli naprawdę chcesz... spróbować czegoś... to uporządkuj swoje życie... ja uporządkuję swoje. Udowodnię ci, że mi na tobie zależy, dobrze? Zadzwoń do ciebie. Zabiorę cię na kolację. Zrobimy to jak normalni ludzie... a teraz... A teraz muszę stąd wyjść.

– Ale ja chcę, żebyś został. Nie chcę, żebyś wychodził...

– Zadzwoń.

– Nie masz telefonu – powtórzyła. – Zapiszę ci mój numer...

– Znam twój numer... – Powiedziałem go bardzo szybko i jakby od niechcienia. Później wymieniłem jej pesel, a także numer dowodu osobistego. Datę urodzenia. Imiona rodziców. Wzrost. Kolor oczu.

Mój popisowy numer ze szkoły podstawowej, a później sposób na podrywanie dziewczyn w liceum. Bezużyteczna pamięć, która pozwala zapamiętywać między innymi rozmowy i cytować je takimi, jakie w rzeczywistości są. Każdy chce być słuchany.

– To dane z mojego dowodu osobistego. – Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Kiedyś mi go pokazałaś. Mam głowę do takich rzeczy.

Wyszedłem z jej mieszkania otepiały i o wiele mniej gotowy na dalszy maraton, niż zakładałem.

– Wypierdoliłem się na schodach, ale jest lepiej.

Kiedy stanąłem na ulicy, zobaczyłem jej kolegę z pracy czekającego przy samochodzie. Grzebał w telefonie komórkowym, pewnie pisząc do niej SMS-a.

Uśmiechnąłem się i podszedłem do niego.

– Co... co jest? – zapytał. Był wystraszony jak zwierzę, które nie wie, czy ma atakować, czy uciekać.

Wykorzystałem ten ułamek sekundy, w którym się zastanawiał, i wyrwałem mu z ręki telefon, zamachnąłem się i rzuciłem nim na drugą stronę ulicy. Wielki, czarny, dotykowy smartfon rozprysnął się na asfalcie, nie dolatując nawet do drugiego chodnika. Już nie był taki smart.

– Ty chuju – krzyknął i próbował mnie uderzyć, ale się uchyliłem i z impetem zaatakowałem

go głową. Usłyszałem chrupnięcie jego chrząstki nosowej i momentalnie zwałił się na ziemię, jak worek ziemniaków. Dosłownie jakby ktoś wyłączył z niego prąd.

Zatoczyłem się do tyłu, próbując złapać równowagę, i chwyciłem się za głowę. Bolała jak cholera. To była nauczka, że po potrąceniu przez samochód nie powinienem używać jej do niczego innego poza myśleniem.

Mój atak wywołał małe poruszenie wśród przechodniów, ale nikt nie zareagował. To było piękne w tym kraju. Każdy był bohaterem w swoim domu, ale na ulicy po prostu anonimową twarzą.

– Hej, co ty mu robisz? – zapytał jakiś ogolony łeb w bluzie z kapturem, uważający pewnie, że wygląda jak gangster. Typ osoby, która w miejscach publicznych słucha głośno muzyki z telefonu komórkowego, w wyobraźni przemierzając ulice Los Angeles z tłumem czarnych raperów.

– Wypierdalaj, bo dostaniesz kulkę – rzuciłem.

Dzieciak w bluzie słysząc to, rzucił tylko okiem na moją szarą marynarkę i zaczął uciekać, srając ze strachu. Tekst o kulce pojawił się spontanicznie, ale zadziałał.

Pochyliłem się nad kolegą z pracy Sary, który leżał zalany krwią obok drzwi do swojego samochodu.

– Masz wycucie czasu, kutasie – powiedziałem i poklepałem go po twarzy nie po to, by okazać mu brak szacunku, ale by sprawdzić, czy żyje. – Wpadasz tam jakby nigdy nic z nadzieją na ruchanie... a przy okazji wpierdoliłeś się w środek ważnej rozmowy, rozumiesz? Bardzo, kurwa, ważnej!

Zaczął coś jęczeć w odpowiedzi i przerzucił oczyma. Z jego nosa wylała się rzeka krwi. W filmach wygląda to zupełnie inaczej. W filmach ludzie są dosłownie niezniszczalni.

– Masz się tu, kurwa, więcej nie pokazywać... Jak się dowiem, że się obok niej kręcisz... to pożałujesz...

Nagle zobaczyłem na jego prawej ręce obrączkę ślubną.

– Masz żonę? – zapytałem, ale on najwyraźniej nie rejestrował wszystkiego, co do niego mówiłem. – Słabo ci? Bo mnie jest słabo... mam kiepski tydzień... pomogę ci pozbierać myśli.

Niewiele myśląc, złapałem go za serdeczny palec i podważając w górę jednym szybkim ruchem, złamałem go. Facet zawył.

– Jak masz żonę, to siedź, kurwa, w domu i ruchaj żonę... – syknąłem przez zęby. – Przez takich pojebów jak ty obrączka i tak gównie znaczy.

Podniosłem się, poprawiłem mankiety czarnej koszuli i się rozejrzałem.

Dookoła nas zaczęła się zbierać mała grupka przechodniów.

– Zamiast się gapić, wezwijcie karetkę – powiedziałem do starszego małżeństwa, które stało najbliżej, zupełnie jakby bali się stracić choć sekundę z całego wydarzenia.

Krokiem spacerowym, lekko kuśtykając, odszedłem.

Miałem dziwne przeczucie, że Sarze się to nie spodoba. Możliwe, że nawet bardzo.

Zatrzymałem się w sklepie spożywczym i kupiłem trzy setki wódki. Jedną z nich odkręciłem jeszcze przy kasie i przechyliłem do połowy.

Pomyślałem o tabletkach Campralu, które od rana łykałem jak cukierki, ale szybko przegnałem tę myśl. Gdyby działały, to nie miałbym ochoty na drinka.

Kiedy spotkałem się z Panem Samochodzikiem w umówionym miejscu niedaleko Złotych Tarasów, miałem już nieźle w czubie, ale czułem się świetnie. Alkohol nadał rytm moim krokom.

Kiedy wsiałem do nissana Samochodzika, ten zlustrował mnie wzrokiem.

– Piłeś? – zapytał.

– Czuć?

– Nie. Masz krew na twarzy.

Zobaczyłem swoje odbicie we wstecznym lusterku i cmoknąłem ustami.

– Spokojnie. Nie jest moja.

Samochodzik dalej patrzył na mnie, najwyraźniej nie wiedząc, jak zareagować.

– Spokojnie. Jej też nie. Tylko jakiegoś kutasa, który w środku rozmowy wpadł tam, krzycząc, jak to bardzo chce ją zerznąć. Nie wiedział, że jestem u niej...

– O cholera... – mruknął.

– Mówię ci, facet miał wyczucie czasu, jak w pierdolonym Harlequinie. Dwójka głównych bohaterów ma ważną rozmowę... wiesz... z rodzaju tych o tym, co ich łączy... i tak dalej... i wtedy pojawia się pierdolony Santana Miguel de la Cruz i wszystko pierdoli. – Nagle z całej siły uderzyłem ręką w swoje udo. – Niech go, kurwa, chuj strzeli! – krzyknąłem. – Kurwa, na tym cholernym świecie nie można nawet porozmawiać z kobietą, bo ktoś będzie za nią stał i sobie trzepał... jak nie na jej widok, to na twój... aż, kurwa, strzeli ci po oczach.

Pan Samochodzik wyszczerzył zęby i jedną ręką wsunął na twarz ciemne okulary, w których wyglądał jeszcze przystojniej.

– Masz dziwne preferencje...

– Pierdol się – syknąłem. Zapiąłem pas bezpieczeństwa i z kieszeni marynarki wyciągnąłem kolejną setkę wódki. Odkręciłem ją i upiłem łyk.

– Czy ty bierzesz te tabletki, które ci załatwiłem?

– Nie działają.

Samochodzik odpalił samochód.

– To nie są żadne magiczne tabletki, stary – wyjaśnił. – To jest na roczną terapię. Po prostu pomyślałem, że skoro jęczałeś u mnie w kuchni, że kończysz z piciem...

Upiłem kolejny łyk z butelki.

– Nie działają – powtórzyłem.

Wzruszył ramionami i zaczęliśmy jechać.

– Uprzedzam, że w tym samochodzie nie palimy. Agnieszka by mnie zabiła. W schowku masz elektronicznego papierosa... wymieniałem w nim grzałkę... więc się częstuj.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnąłem plik banknotów w banderoli i wrzuciłem do schowka.

– To za opiekę i ubranie – wyjaśniłem.

– Albo masz więcej kasy ode mnie, albo po prostu lekką rękę do pieniędzy.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Żartowałem, Jezu – jęknął.

Przez chwilę milczeliśmy. Miał rację. Miałem lekką rękę. Rozrzucałem na prawo i lewo oszczędności całego swojego życia, a także życia swoich rodziców. Chyba nie tak wyobrażali sobie mnie i moją zabezpieczoną przyszłość jak z bajki, u boku kochającej kobiety.

– Jak się nazywa ten samochód? – zapytałem, rozglądając się.

– Skoro jeszcze nie zauważyłeś, to znaczy, że masz to gdzieś.

Zaczął się śmiać, włączył odtwarzacz CD i na prostej docisnął pedał gazu. W głośnikach zabrzmiały pierwsze takty piosenki Living Dead Girl, a przyśpieszenie samochodu wcisnęło mnie w fotel.

Zdrowie. Za nowy początek.

CZEŚĆ III

SPEŁNIĆ MARZENIE

Pan Samochodzik prawie przez cały czas nie tracił dobrego humoru.

– Pieprzone bramki! Posrało ich? Autostrada od siedmiu boleści.

No, prawie zawsze.

Na podróż, która trwała prawie sześć godzin, złożyło się też kilka postojów.

Pierwszy przyniósł ze sobą pytanie:

– Wiesz, że od siedzenia na trawie możesz mieć plamy na dupie? Nie żebym miał z tym problem, ale naprawdę lubię... – zawahał się – ...lubilem ten garnitur.

Siedząc dalej na poboczu, po prostu odpaliłem kolejnego papierosa. Zignorowałem Samochodzika. Kręciło mi się w głowie i zbierało na wymioty. Po raz pierwszy tego dnia zacząłem żałować każdej kropli wody, która wirowała w moim systemie, przekłamując rzeczywistość.

Drugi postój przyniósł ze sobą wątpliwość.

– Może mój stary się mylił? – zapytałem, stojąc naprzeciwko budki z hamburgerami na jakimś parkingu dla kierowców ciężarówek. Ukraińskie i rumuńskie kurwy w lasku nieopodal obsługiwały wszystkich zainteresowanych, a później ocierając usta albo poprawiając błyszczki, wracały na stanowisko.

– W jakiej sprawie? – zdziwił się Samochodzik, opierając się o maskę swojego nieprzyzwoicie drogiego samochodu. Pił wodę mineralną drobnymi łyżkami i bez entuzjazmu wodził wzrokiem po stojących w szeregu ciężarówkach.

– Może na świecie nie ma żadnych zasad – wyjaśniłem. – Może wszystko, kurwa, nie ma sensu i każdy może robić, co mu się żywnie podoba, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Może rzeczywiście dryfujemy...

Samochodzik się uśmiechnął.

– Wolę, jak jesteś trzeźwiejszy.

– Jestem trzeźwy.

– Piłeś czystą wodę. Powinieneś coś zjeść... Masz, napij się wody.

– Chcesz, żebym kupił sobie hamburgera z sosem z AIDS albo HIV, które zostawiły po sobie te leśne ssaki? – Wskazałem palcem budkę z hamburgerami, a później kilka ciężko pracujących pań. Niechętnie wziąłem od Samochodzika butelkę i napiłem się odrobinę.

– Mam na myśli... – urwał. – Podejrzewam, że nie tylko tym polewają swoje burgery. Znajdziemy coś lepszego.

Trzeci postój przyniósł ze sobą groźbę.

– Zastrzelę cię! Jak zarzygasz mi tapicerkę, to zabiję... – Na jednej ze stacji benzynowych, gdzie kupiłem kilka piw na drogę, zaszedł mnie od tyłu i przyłożył mi do potylicy dwa

wyciągnięte palce. – Zabiję cię, ty mały, depresyjny gnojku. Nie możesz na chwilę odpuścić? Pozbierać, kurwa, myśli?

Odłożyłem siatkę z piwami z powrotem na blat i uniosłem ręce do góry.

– A byłeś dla mnie taki dobry. Czy to czas, żeby ginąć? – zapytałem retorycznie.

Pan Samochodzik złapał mnie agresywnie za kark, a ja poczułem przechodzący wzdłuż kręgosłupa dreszcz. Pomyślałem o Mirku i o tym, jak syknął, że mnie wypierdoli. Tam w kuchni. W innym miejscu i innym czasie. Tam.

Bardzo literackie. Musiałem to już gdzieś wcześniej przeczytać.

– Jesteś jak mój wujek Heniek. Wiesz, co robił mój wujek Heniek? – zapytał Samochodzik, zniżając głos. Na twarzy cały czas miał ciemne okulary, w których wyglądał jak model z okładki zagranicznego magazynu.

– Chłła?

– Dwadzieścia siedem dziewięćdziesiąt dziewięć – powiedziała młoda dziewczyna stojąca za ladą. Do piersi miała przypiętą plaketkę, która zachęcała, żebyśmy spróbowali nowej, większej parówki.

Samochodzik uśmiechnął się zniewalająco i dalej trzymając mnie za kark, podał jej kartę kredytową.

– Niech pani doliczy do tego benzynę ze stanowiska czwartego.

Dziewczyna zaczerwieniła się jak burak i spojrzała na mnie z zazdrością. Nie byłem aż tak pijany, żeby się nie zorientować, że naprawdę wiele by oddała, żeby to ją trzymał za kark jak szmatę albo jakiegoś psa, a nie mnie. Byłem pewny, kto w tym układzie spróbowaliby nowej, większej parówki.

Ludzie są niedorzeczni – pomyślałem. Chcielibyśmy czuć się ważni, głośno mówić o godności i szacunku, a tak naprawdę fantazjujemy o tym, żeby ktoś nas porządnie zerznął i pokazał nam, gdzie nasze miejsce. Przynajmniej nie mam wątpliwości, po co ludzie wymyślili Boga. Kiedyś dymał Żydów, a teraz dyma wszystkich, jak leci.

Potałem jedno oko zewnętrzną stroną dłoni.

A może źle przeczytałem plaketkę? Może nie chodziło o konkretną parówkę, tylko parówkę w ogóle? Parówkę wszystkich parówek?

Naprawdę byłem pijany.

– Słuchaj, staruszk – mruknął Pan Samochodzik. – Brakuje ci pozytywnej energii.

– Mam wrażenie, jakbyś się powtarzał...

– Piwo wszystko zagłuszy – wyjaśnił.

Wytłumi, przyćmi, przygasi, słumi, stępi, złagodzi – pomyślałem, ale tak naprawdę moje usta

powiedziały:

– Cudownie.

– Jesteśmy prawie na miejscu – dodał.

– Tak.

– To już prawie koniec. Cieszysz się czy nie?

– Wypierdoliłem się na schodach – odparłem.

– Nie zachowuj się jak histeryczna ciota. Wrócimy później do Warszawy, wytrzeźwiejesz, zadzwonisz do niej, porozmawiasz, zaczniesz wszystko od początku. Ale najpierw zrobię ci pieprzoną terapię wstrząsową.

Kiedy dziewczyna poprosiła Samochodzika o numer PIN, jego ręka błyskawicznie ześlizgnęła się z mojego karku i wylądowała na moim tyłku.

– Mój facet jest bardzo wstydlivy – powiedział do niej, klepiąc mnie po pośladkach. – Ale z pewnością chciałby coś zjeść... potrzebujemy dzisiaj wieczorem dużo energii, prawda, Misiu? – zwrócił się do mnie. Brzmiał tak poważnie, że chyba każdy uwierzyłby w to, że jesteśmy parą. – Masz ochotę na mięsko?

Zabawne. Niestety ja potrafiłem myśleć tylko o Sarze. O tym, co powiedziała.

Porozumiewawczo mrugnąłem okiem do dziewczyny, która tym razem zrobiła się tak czerwona, że o mało nie zapłonęła żywym ogniem. Nie wiedziałem, co chciałem osiągnąć, tak samo jak nie wiedziałem, co robi męska dłoń na moim tyłku.

– W tym związku to ja robię za panienkę – mruknąłem bez entuzjazmu. – Każdy raz jest jak pierwszy raz.

Samochodzik zostawił mnie i podszedł do drugiej kasy.

– Niech nam pani dorzuci kilka tych... – Wskazał palcem obracające się za szybą parówki. – I może ze dwie kanapki. Chcesz kanapkę?

Zamiast odpowiedzieć, dotknąłem swojego karku, gdzie jeszcze kilka chwil temu znajdowała się jego dłoń.

Błąd systemu. Brak sterowników. Co ja, kurwa, robię? Gdzie ja jestem?

Czyżbym miał kolejny spadek sił?

Nagle cała ta podróż wydała mi się idiotyczna i niepotrzebna.

– Chcesz kanapkę? – powtórzył pytanie. Kiedy zobaczył, że nie zareagowałem i że po prostu stoję tam jak idiota, pomachał do kasjerki, a kiedy podeszła do niego, ściągnął okulary i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Niech pani weźmie to piwo – szepnął w jej kierunku, ale nie na tyle cicho, żebym nie mógł tego usłyszeć. – Płacę za nie, ale proszę je zabrać. Całą siatkę. Bierzemy tylko kanapki i niech

pani dorzuci jakiś napój... może być z dystrybutora...

Kiedy byliśmy już w samochodzie i jechaliśmy prostą drogą, licznik wskazywał prawie dwieście kilometrów na godzinę, a Samochodzik zaczął swój wywód.

– Można zastosować kombinatorykę i sprawdzić, ile jest możliwości – mówił, ocierając musztardę ciekącą mu po brodzie. – Pomyśl o muzyce, o dźwiękach... nutach! Wszystko będzie zawsze liczbą skończoną. Jeśli weźmiesz pod uwagę to, że można wprowadzać jeszcze inne zmiany, na przykład stosowanie krótkich sekwencji czy różnicowanie tempa, liczba ta urośnie do rozmiarów, których nie potrafię sobie wyobrazić. Wciąż jednak jest to liczba skończona. Ale raz na jakiś czas pojawia się ktoś, kto ma talent i zmienia wszystko.

Pierdolenie, ale i tak mówił dalej.

– Przewraca wszystko do góry nogami i wprowadza nowy ład. – Zaciągnął się elektronicznym papierosem. – Rozpoczyna nową erę, daje życie nowemu gatunkowi... Staje się prekursorem. Ładne słowo, prawda?

Jeszcze więcej pierdolenia.

– Więc dochodzę do wniosku, że owszem, są litery i słowa, całe frazy, ale nie gotowe myśli – mówił dalej, tym razem pociągając przez słomkę kolejny łyk napoju chłodzącego. – Idee. Czy całe ideologie. Przeciętne masy nie są w stanie stworzyć czegoś nowego... no, może przez przypadek... ale są jednostki wybitne. Gdyby wszyscy w średniowieczu wierzyli, że nie ma już nic nowego, to skrobałbyś dzisiaj moralitety na tabliczkach woskowych. – Zmierzasz do czegoś konkretnego? – zapytałem w końcu, a on wybuchnął śmiechem.

– Tak. Nawiązuję do twojego smęcenia o twórczości i o braku nowych pomysłów... Dochodzę do wniosku, że może wszystko, co powiedziałeś, to gówno prawda. Może nie trzeba wymyślać nowych rzeczy, budując wszystko od podstaw... Może trzeba po prostu próbować inaczej.

– Nadzieja motywuje. Każdy oczekuje w tym, co robi, jakiegoś sensu. Każdy chce, żeby poklepać go po plecach.

– No właśnie...

– Co właśnie?

– Nie wiem... – przyznał. – Próbuję cię prowokować...

– Prowokuj dalej. Nie wiem, co rozmowy o literaturze mają wspólnego z życiem... Nie do końca rozumiem... co próbujesz mi powiedzieć... że warto pisać? Warto próbować? Super... Najpierw powiedz mi coś... co sprawi, że... poczuje się szczęśliwszy.

– Ładnie wyglądasz...

– Nie o to mi chodzi...

– ...w moim garniturze.

Tak.

– Coś jeszcze? – zakpiłem.

– Czemu ze mną jedziesz... czemu zgodziłeś się jechać, skoro uważasz, że to wszystko jest idiotyczne?

Zamarłem.

– Mają tam miłe kelnerki – powiedziałem.

– O tamtejszych kelnerkach też mi opowiadałeś.

– Naprawdę?

Samochodzik złustrował mnie wzrokiem.

– Masz niezłą pamięć... ale wybiórczą – stwierdził. – Zróbmy test...

Wyciągnął z kieszeni swoją wizytówkę i prawie podetknął mi ją pod nos.

– Jak zapamiętasz mój numer telefonu, po tym wszystkim... jak już skończymy... możesz do mnie zadzwonić. I jeżeli naprawdę będziesz chciał, to ci pomogę się odbić... Zacząć coś nowego.

Zerknąłem na wizytówkę.

– Obraz mi się rozmywa.

– Mam to w dupie... tu chodzi o twoją ewentualną pracę. Nową pracę. – Schował wizytówkę z powrotem do kieszeni. – Na stacji powiedziałem, że jesteś jak wujek Wiesiek...

– Pamiętam, że na stacji powiedziałeś, że jestem jak Heniek, a nie Wiesiek...

Samochodzik się zmieszał.

– No dobra. Nie chodziło mi o mojego wujka. Tak naprawdę... raczej... typowego wujka... jak na weselach... Archetyp bohatera...

– Takiego, co podszczypuje dzieci, a później masturbuje się w kiblu?

– Nie. – Zaśmiał się. – A w zasadzie... cóż... Raczej o takiego, który po wódzie zawsze za dużo mówi i za dużo robi... a następnego dnia wszystkiego żałuje... każdego jebanego słowa i każdej rzeczy, którą zrobił... więc... co robi? Nalewa sobie kielicha... albo pije piwko... znowu... Od początku...

I tak cały czas.

Kiedy w końcu po sześciu godzinach dotarliśmy na miejsce, Samochodzik wskazał palcem krwisty zachód słońca.

– Może życie nie jest takie złe, co?

Spojrzałem na niego i się uśmiechnąłem. Pan Samochodzik. Może miał rację. W pewnym sensie na pewno, ale co z tego? Dla niego i tak najważniejsze było to, że dzięki mnie mógł poczuć

się potrzebny. Był moim bohaterem. Znakiem na drodze. Żywym symbolem, który pojawił się w odpowiednim momencie, zupełnie jak w równaniu matematycznym. Punkt zwrotny w mojej historii.

Tylko co, jeśli jestem ślepy i nie potrafię odczytywać znaków?

Jestem swoim własnym brakiem wiedzy.

– Jak się czujesz? – zapytał, a ja wiedziałem, że cały czas pokutuje za fakt, że o mały włos mnie nie zabił. Wyrzuty sumienia tak go zaślepiły, że jeszcze się nie zorientował, że ta historia nie będzie miała szczęśliwego zakończenia. Nieważne, jak bardzo próbowałby wmówić mi, że jest inaczej.

– Trzeźwiejszy... – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Dzięki.

Samochodzik postukał kilka razy palcami w kierownicę samochodu, który normalni śmiertelnicy mogli co najwyżej wstawić sobie na tapetę w komórce.

– Dobra, to co teraz? – zapytał w końcu.

– Słucham? – zdziwiłem się.

– Chciałeś, żebyśmy tu przyjechali...

– Tutaj?

Samochodzik westchnął.

– Błagałeś mnie, żebyśmy tu przyjechali... ja zaproponowałem, że ci pomogę...

Próbowałem przypomnieć sobie chociaż pół słowa na ten temat.

– Nie denerwuj mnie – warknął nagle. – Gdzie jest ta ściana?

Miałem déjà vu. Samochodzik wynajął pokoje dokładnie w tym samym hotelu, w którym nocowałem z Mirkiem.

Po szybkiej kolacji wykorzystałem moment, kiedy mój kompan poszedł się odświeżyć, i wróciłem do baru na kilka szybkich drinków.

– Wszyscy dookoła się wymądrzają i udają, że wiedzą, co jest dla ciebie najlepsze, kiedy w rzeczywistości mają problemy sami ze sobą – powiedział starszy pan oskarżycielsko. Siedział na wysokim krześle, a pod szyją miał za bardzo poluzowany krawat. Wyglądał, jakby powinien wracać do domu.

Wypiłem jego zdrowie.

– Jesteś przy wodopoju. – Usłyszałem głos Samochodzika.

– Przyłapałeś mnie.

– Nie mamy czasu do stracenia...

Wzruszyłem ramionami. Pomachałem barmanowi i starszemu facetowi na pożegnanie i po

prostu wyszliśmy.

Kiedy dotarliśmy do klubu, było już prawie ciemno.

– Nie wiedziałem, że ciągnie cię do takich alternatywnych miejsc – zdziwił się.

– To nie był mój wybór. Ostatnim razem to miejsce wybrali faceci, którzy chcieli się poczuć młodziej.

Słyszając moje słowa, mruknął.

Przebiliśmy się przez tłum dzieciaków stojących przed wejściem. Ochroniarz widząc nasze garnitury, przerzucił tylko oczyma i z namaszczeniem otworzył nam drzwi.

– Wielmożni panowie... – powiedział.

Kilka jego koleżanek obserwujących całą sytuację z boku zaczęło chichotać.

Samochodzik to zignorował, a ja pokazałem facetowi środkowy palec.

Mój typowy błąd.

– Co mi, kurwa, pokazałeś?

Poczułem na ramieniu silny uścisk ręki.

– Pokazałem ci środkowy palec, debilu.

– A wsadzić ci go w dupę? – ryknął.

I wtedy interweniował Samochodzik.

– Chłopcze... puść mojego kolegę.

– Pokazał mi środkowy palec.

– To idź się, kurwa, poskarż mamusi. Nie wiesz, kim jesteśmy, i nie wiesz, jak bardzo możesz żałować tego, że nawet go dotknąłeś... – Wyciągnął w jego kierunku dwadzieścia złotych. – Idź kupić sobie lody.

Silny uścisk zelżał, a później zniknął.

– Czemu, kurwa, wszyscy łapią mnie ostatnio za kark albo za ramiona? – zapytałem. – Co to za jakiś pojebany zwyczaj...

– Znam cię od niedawna, ale to chyba twoja ujmująca osobowość... Masz w sobie coś takiego, co sprawia, że sam z chęcią bym ci jebnął.

– Ależ dziękuję.

– Ależ proszę.

Weszliśmy do środka i od razu znaleźliśmy się na parkiecie. Zaczęliśmy iść przez tłum tańczących dzieciaków prosto w kierunku baru.

Ludzie jak zwykle zachowywali się według narzuconych zasad. Tłum samotnych samców przy balustradzie. Kilka grup rozchichotanych głupich dup.

– Kawy? – zapytał Samochodzik.

Chciałem odpowiedzieć, ale nie zdążyłem, bo w ramiona skoczyła mi drobna dziewczyna o krótkich białych włosach i kolczyku w brwi, o mały włos nie zwałając mnie z nóg.

Pocałowała mnie.

– Wiedziałaś, że wrócisz – pisnęła z radości, a później rzuciła okiem na Samochodzika. – Kim jest twój kolega?

Oblizalem usta, czując na sobie jej smak, a później złapałem ją za twarz i obróciłem lekko w stronę światła.

– Kto ci to zrobił? – zapytałem.

Na policzku miała kilka zadrapań.

Zmieszala się.

– Uciekłam przed nim – odpowiedziała niechętnie.

– Przed kim?

Samochodzik przysunął się do nas, żeby lepiej słyszeć.

– Ten kretyn, Błazej. Ten od kasy... Zaatakował mnie nożem.

Poczułem ścisk w żołądku i nagle uświadomiłem sobie, że to mogła być moja wina.

W tym samym momencie DJ krzyknął coś zza konsoly, a ludzie unieśli ręce w górę i zaczęli śpiewać tekst piosenki, której nie znałem i nie chciałem znać.

Zajęliśmy miejsce przy stoliku.

– Ładna dziewczyna – stwierdził Samochodzik.

– To prawda.

Kaśka jak na zawołanie zmaterializowała się przy nas z nową popielniczką i kawą. Postawiła filiżanki i pomiędzy nami cukierniczkę, a później usiadła obok mnie, tacę kładąc sobie na kolanach.

– Dzisiaj mamy tu koncert górali – powiedziała. – Dwóch górali i DJ.

– Co z tym Błazejem?

– Ale...

– Powiedz mi – naciskałem.

Samochodzik tylko w milczeniu nam się przyglądał.

– Odwaliło mu. Ogolił sobie głowę, zachowuje się jak pojeb... Wskoczył na mnie z nożem, gdy wracałem z pracy. Wyglądał strasznie... Uciekłam...

– A twarz?

– Przedzierałam się przez krzaki. Nie powinieneś się tym przejmować. Powiedziałaś o tym

wszystkim i koleś jest skończony...

– Macie świetną ochronę – zauważył Samochodzik. – Na pewno go nie wpuszczą? Tego gościa od noża?

Kaśka westchnęła.

– To nie jest dobry temat... Nie możemy porozmawiać o czymś inny? – Dotknęła delikatnie mojego kolana. – Co was tu sprowadza?

– Powiedz jej – zachęcił mnie Samochodzik, odpalając papierosa.

– Coś mnie tu przyciągało... Moje życie mocno się skomplikowało przez ten tydzień...

– To ja cię przyciągałam... – Pocałowała mnie. – Myślami... Zaraz wracam... Będę was co chwilę odwiedzać.

Wstała z miejsca i kręcąc tyłeczkiem, wróciła do pracy.

– Ona cię lubi – stwierdził mój przyjaciel INSTANT.

– Po czym to wnosisz? Po tym, że mnie całuje?

Samochodzik wybuchnął śmiechem.

– Nie znasz się za bardzo na kobietach. Nie bądź głupi. Nie zrób jej krzywdy.

Milczałem, patrząc na tłum tańczących ludzi.

– Co teraz? – zapytałem.

– Skończ kawę – odpowiedział.

Tak też zrobiłem.

– Straszny ten kibel – stwierdził, kiedy weszliśmy do środka. Pisuary były puste.

Poczułem się nieswojo. To miejsce nie miało dla mnie żadnego specjalnego znaczenia, oprócz złych wspomnień.

– Jesteś gotowy? – zapytał.

– Do czego?

Nagle mnie spoliczkował.

– Pokaż mi, jak bardzo jesteś wkurwiony – powiedział.

Uśmiech na jego twarzy prawie mnie oślepił.

– Posłuch...

Nie pozwolił mi skończyć, tylko spoliczkował mnie jeszcze raz.

– Gdybyś był trzeźwiejszy, może nie pozwalałbyś teraz sobą pomiatać... – powiedział.

– Chcesz mnie sprowokować?

Do toalety wszedł facet w bluzie z kapturem.

– Spierdalaj stąd – syknął Samochodzik. – Wypierdalaj, grubasie. Rozmawiamy tutaj.

Dzieciak uciekł.

Rozłożyłem rękę.

– Czego chce...

Kolejne siarczyste uderzenie. Aż oczy zaczęły mi łzawić.

– O kim, kurwa, myślisz? – zapytał.

– O tobie...

– Gówno prawda!

– Przywiozłeś mnie, żeby mnie wystrzelać po pysku? Mogłeś to zrobić...

Kolejne uderzenie.

– Przestań! – krzyknąłem. Przez kilka chwil byłem jak zwierzę złapane w sidła. – Myślę o sobie...

– O sobie?

– Tak, kurwa. – Zamachnąłem się na niego, ale sprawnie uniknął mojego uderzenia i wykręcił mi rękę. – Bogaty kutas – jęknąłem.

– Mam ci zrobić krzywdę? – szepnął. – Tym razem naprawdę?

– Rób, co chcesz, i odpiardol się ode mnie...

Pchnął mnie na ścianę. Uderzyłem twarzą o zimne kafle.

– Moja żona poroniła – powiedział. – Nie możemy mieć dzieci. Co na to powiesz, męczenniku?

– Co mnie to, kurwa, obchodzi... – Odwróciłem się w jego kierunku. Nasze spojrzenia się spotkały.

– Masz to w dupie. Jesteś tylko ty. Zawsze jesteś tylko ty...

Momentalnie poczułem ogarniający gniew.

– A później udajesz wielce odrażonego... samotna, kurwa, wyspa... – kontynuował. – Jestem tutaj dla ciebie... Jestem tu po to, żeby cię pchnąć...

Znowu mnie popchnął i znowu uderzyłem w ścianę, tym razem potylicą.

Głuche stuknięcie.

– Przestań mnie bić! – wrzasnąłem. – Odpiardol się...

– Wszystkie twoje problemy są teraz za twoimi plecami... Nie przed tobą... Ja tak zrobiłem... moja żona też... Masz ścianę, rozwal ją...

Złapałem się za głowę.

– Zamknij się – powiedziałem.

– Masz rację... łatwiej napić się drinka...

Wybuch nie nastąpił.

Tylko go sobie wyobraziłem.

– Widać, nie jesteś jeszcze gotowy – stwierdził.

Dwóch facetów zamkniętych w kiblu.

– Dzięki – odparłem. – Rozumiem, co chciałeś zrobić...

On tylko milczał.

Umył dłonie w umywalce, spojrzał na mnie ostatni raz i wyszedł.

Nagle się wystraszyłem, że już go więcej nie zobaczę.

Uderzyłem ręką w ścianę.

Widać, nie jesteś jeszcze gotowy – jego słowa.

Może po prostu brak mi narzędzi?

Kiedy wróciłem na salę, Samochodzik siedział przy naszym stoliku.

– Przemyśl to wszystko – powiedział, kiedy usiadłem naprzeciwko niego.

– Próbuję...

– Może. – Zamyślił się. – Każdy ma swoją ścianę...

Spojrzałem na swoje dłonie. Drżały. Skóra na twarzy piekła mnie od uderzeń.

– Co słyhać, chłopcy? – zapytała Kaśka, robiąc rundkę po sali.

Samochodzik puścił do niej oko.

– Nasz wspólny znajomy chyba chciałby coś zamówić... Piwo? Wódka? – zapytał mnie bez cienia wesołości.

Kaśka przyjrzała mi się uważnie i złożyła usta w dzióbek.

– Mogę go na chwilę wypożyczyć? – zapytała Samochodzika.

Ten tylko się uśmiechnął.

Złapała mnie za rękę i zaprowadziła na zaplecze.

Kiedy upewniła się, że jesteśmy sami, złapała przez spodnie za mojego penisa i zaczęła mnie całować.

Poddałem się jej całkowicie. Była śliczna. Potrzebowałem jej.

Po pijaku zawsze byłem pełen miłości.

– Mam na ciebie ochotę – mruknęła. – Nie mogę się doczekać, aż zabierzesz mnie do siebie i wyb...

Zamiast pozwolić jej skończyć, złapałem ją w pasie i pchnąłem na ścianę. Odwróciłem ją, złapałem za dupę i zacząłem zsuwać z niej spodnie.

– Nie tutaj! – próbowała protestować, ale bezskutecznie. – Nie tutaj, kurwa, bo ktoś nas przyłapie.

Wsadziłem jej rękę do majtek i środkowym palcem sprawdziłem, czy jej cipka jest wystarczająco mokra. Rozchyliłem jej uda kolanem, rozpiąłem swoje spodnie i wsadziłem w nią kutasa. Mocno, agresywnie wślizgnąłem się w jej ciepłe i ciasne wnętrze.

Jęczała bezsensownie, więc zakryłem jej usta tą samą dłonią, którą wcześniej wepchnąłem jej do majtek. Zaczęła ssać mój mokry od cipki palec.

Rznąłem ją pod ścianą, a przez te kilka drinków za dużo nie mogłem dojść. Więc rznąłem ją dalej. Rznąłem ją, dopóki w moich ramionach nie rozpuściła się jak masło. Rznąłem ją, dopóki konwulsyjnie nie zaczęła drżeć niesiona kolejną falą orgazmu.

Nie doszedłem. Nie dałem rady.

Zły na siebie, zapiąłem spodnie i spojrzałem na nią, jak ledwo stojąc na nogach, próbuje wciągnąć na siebie majtki i spodnie.

Uklęknąłem przed nią, pocałowałem ją w cipkę i jej pomogłem.

Dotknęła mojej twarzy, jakby chciała się upewnić, czy naprawdę tu jestem.

– Ja pierdołę, człowieku... skończyłeś w środku?

– W ogóle nie skończyłem...

Wtedy znowu zaczęła jęczeć.

– Właśnie znowu doszłam...

Każdy ma taką ścianę, na jaką zasługuje.

Zamiast do stolika poszedłem do baru. Zamówiłem trzy kieliszki wódki. Jednego wypilem od razu, a dwa kolejne zaniósłem, żeby wypić je z Samochodzikiem.

Miał ponurą minę.

– Agnieszka źle się poczuła – powiedział nagle.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że muszę jechać do Warszawy... Zaraz... Ona będzie tam za dwie godziny. Teść ją przywiezie. Ja przy dobrych wiatrach za sześć...

Stałem z dwoma kieliszkami wódki i nie wiedziałem, co powiedzieć.

Samochodzik podniósł się z miejsca.

– Wypijesz to sam. Jak chcesz, to wrócę po ciebie, ale najwcześniej pojutrze. Musisz mi wybaczyć, ale Aga jest dla mnie najważniejsza na świecie...

Wmurowało mnie.

– Ale...

– Co „ale”? Jak nie chcesz teraz jechać, to po ciebie wrócę... Przywiozłem cię, to cię zabiorę z powrotem... – Rozejrzał się. – To miejsce jest tragiczne. Smród tanich perfum i buzujących

hormonów... Baw się dobrze. Mam nadzieję, że zapamiętałeś mój numer.

Tylko kiwnąłem głową.

– Nie zrób tej małej krzywdy. Mówię poważnie.

Za późno – pomyślałem.

Kiedy mnie zostawił, poczułem się nagle bardzo samotny. To wszystko było bardzo podejrzane. Żona? Teraz? Tak nagle po długiej podróży zerwał się, żeby wracać?

To niemożliwe! A może on po prostu nie istnieje? Może go, kurwa, wymyśliłem i jestem w matni? Leżę gdzieś na chodniku i umieram?

Chciałem go zapytać, ale już zniknął.

Kilka osób na parkiecie zaczęło wyć w rytm melodii kolejnej piosenki.

Podszedłem do jakiegoś obcego dzieciaka i wręczyłem mu jeden z kieliszków.

– Twoje zdrowie. Taka szansa może się już nie powtórzyć.

Zdziwił się, ale wziął kieliszek. Każdy bierze.

Napędza mnie gniew. Jestem nim przepełniony. Tryskam tym gniewem na nią, a ona tylko oblizuje usta.

Wije się, a całe jej ciało prosi o jeszcze. Lodowatymi ustami zaczyna ssać moją dolną wargę, jednocześnie napinając mięśnie.

Dochodzi chwilę po mnie.

Ociera mokrą dłonią moje spocone czoło.

Nikt nie potrafi pokazać ani powiedzieć, czym tam naprawdę jest seks. Pornografia go spłyca i bagatelizuje, a literatura zbytnio komplikuje. Nie ma takich słów, które potrafiłyby oddać sens pierdolenia. Dla mnie jest czymś innym niż dla niej, ale każde z nas znajduje w nim siebie. Trochę ciepła, akceptacji, a nawet miłości. Tu nie chodzi o wtyczki, o elektryczność.

Nigdy nie ma słów. Słowa są złe. Ograniczają tak samo jak wszystko, co robimy.

Napina się jeszcze kilka razy, a ja ciężko oddychając, zauważam, że próbuje dojść drugi raz.

– Myślałam o ścianie – szepnęła drżącym głosem. Jej oddech miał słodki zapach. – To było piękne. Cieszę się, że na ciebie trafiłam.

Jej ręka cały czas wędrowała po mojej twarzy.

– Spełniłeś moje marzenie – powiedziała, przypominając mi, że to się dzieje naprawdę. Że wszystko, co się wydarzyło, wydarzyło się i nie można już tego cofnąć.

– To dobrze – odpowiedziałem po chwili.

Była piękna i mogła w życiu zostać kimkolwiek by chciała, a została puszczającą się gówniarą żyjącą z napiwków.

– To dobrze – powtórzyłem, próbując przekonać sam siebie.

Prawda. Zawsze chciałem spełnić czyjeś marzenie.

Przez chwilę poczułem się bardziej ludzki i przestałem siebie nienawidzić.

Przypominam sobie, jak biłem ją po kształnym tyłku i szarpałem za krótkie blond włosy zupełnie tak, jakby miało to zmienić moje życie na lepsze. Jakbym chciał odreagować całe zło, które mnie otacza.

Jedyne, czego chcę, to zapalić papierosa i napić się drinka. Chcę stać się dymem, chcę wypełnić swoje płuca, a później wydmuchnąć się i zniknąć. Chcę zniknąć. Chcę jej już nigdy, kurwa, nie zobaczyć!

Pomyślałem o Sarze i o Panu Samochodziku.

I wtedy znowu poczułem gniew.

– To dobrze – powtórzyłem po raz kolejny, myśląc tym razem tylko o drinku i ucieczce.

Kiedy jedliśmy śniadanie, składające się z jajecznicy z cebulą, szczypiorkiem i tostami, dokładniej się jej przyjrzałem. Była cudownie bezwstydna. Kolczyk w brwi, skaleczenie na szyi i policzku, nastroszone włosy, które po prawie całej nocy spędzonej na pieprzeniu się były jeszcze bardziej nastroszone...

Byłem spokojny. Byłem trzeźwy.

I wtedy nagle naszła mnie refleksja.

Jak często w przeciągu ostatnich kilku miesięcy myślałem o tym, co lubię?

Lubię zapach chleba. Lubię smak masła, choć tak naprawdę za nim nie przepadam. Lubię sól.

Uśmiechnąłem się i nabiłem na widelec kawałek mocno ściętego jajka.

– Co się stało? – zapytała i uśmiechnęła się prowokująco. Jej współlokatorek nie było w domu, więc od kiedy wstaliśmy z łóżka, cały czas chodziła nago, od czasu do czasu ocierając się o mnie jakby przez przypadek. Nie miałem żadnych rzeczy, a do hotelu po prostu nie wróciłem.

– Zastanawiałem się, czy nie jest ci zimno w cipkę, jak siedzisz na krześle...

Upiła łyk kawy, z pozoru ignorując moje pytanie.

– Kobiety nie siedzą na cipkach, tylko na tyłkach... myślałam, że znasz chociaż podstawy anat... – urwała w pół słowa, przygryzła palec i mrużąc, zmrużyła oczy z satysfakcją. – Właśnie mi się przypomniało, że znasz podstawy... nawet dość dobrze.

Komplement w jej ustach brzmiał jak wyzwanie do pojedynku.

– Co lubisz? – zapytałem nagle. – Tylko nie mów, że się pierdolić, bo to zdążyłem zauważyć...

Słyszając ton mojego głosu, momentalnie spoważniała.

– Co masz na myśli? – Zmarszczyła brwi.

Czemu, do kurwy nędzy, wszyscy używają tego zwrotu?

– Nie wyraziłem się jasno?

– Nie musisz zgrywać ważniaka...

Westchnąłem.

– Pytam z ciekawości i absolutnie na poważnie. Nie muszę udawać zainteresowania, żeby cię poderwać, bo już cię przeleciałem. Podam ci przykład... Ja lubię chleb... Pomyślałem o tym kilka chwil temu...

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Lubiejęęęę... – zaczęła i przeczesała palcami swoje krótkie białe włosy. – ...podróżować. Uwielbiam wyjeżdżać... to poczucie, że nie ma żadnych zobowiązań, żadnych zmartwień... żadnego pieprzonego czynszu i chesnego do zapłacenia... nie ma mojej żalosnej pracy i... – Złożyła usta w dzióbek. – ...kilku złamasów, których żałuję, że spotkałam na swojej drodze.

– Aż tak źle?

– Nie warto wspominać. A ty co lubisz poza chlebem i mną?

Upiłem łyk kawy.

– A skąd pewność, że cię lubię? Może cię po prostu wykorzystuję...

– Raczej ja ciebie...

– Ha. – Wzniosłem kubek jak do toastu. – Miło mi, że dołączyłaś do tego zacnego grona...

– Coś cię gryzie, prawda?

– Skąd taki pomysł?

– Nie wiem... Kobięca intuicja? Przez większość czasu sprawiasz wrażenie nieobecnego...

– W trakcie seksu?

– Najebany raz powiedziałaś do mnie „Sara”. Dziwnie było to usłyszeć, mając twojego dorodnego kutasa w ustach. Mogłam ci go odgryźć... wrrrrr...

Westchnąłem.

– Przepraszam. To są rzeczy, które mnie gryzą... one trochę...

– Nie przejmuj się. Ja fantazjowałam o twoim koledze...

– Samochodziku?

– Dziwne przezwisko... Tak. Wyobrażałam sobie, jak pierdolicie mnie we dwójkę...

Ugryzłem tost i wsadziłem do ust papierosa.

– Można dostać od tego wrzodów – powiedziała. – Od palenia przy jedzeniu...

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – A od pieprzenia się z nieznajomymi można dostać syfa albo

wpierdol... O tym może słyszałaś?

Spochmurniała.

– Nie puszczam się! – syknęła. – Nie oceniaj mnie!

Byłem mistrzem w psuciu atmosfery.

– Puszczanie, skakanie po kwiatkach... żadne określenie nie pasuje... – Przygryzłem filtr nieodpalonego papierosa i się uśmiechnąłem. – Lubię cię...

Milczała, a jej usta zamieniły się w niewidoczną kreskę. Pewnie rozważała możliwość wyrzucenia mnie za drzwi, a może po prostu zaczęła czuć się naga. Kolejny przykład na to, że to nie nagość czyni nas nagimi. Przynajmniej nie w tym konkretnym sensie.

– Lubię cię – powtórzyłem. Podniosłem się z miejsca i odpaliłem papierosa od kuchenki gazowej.

– Tak? Co jeszcze lubisz? – zapytała po chwili i uśmiechnęła się kącikiem ust.

Półuśmiech w prezencie specjalnie dla mnie.

– Nie wiem...

– Lubisz pisać. Samochodzik mi mówił...

– Coś jeszcze mówił?

– Tak, że jesteś męczybułą i że za dużo myślisz. – Podrapała się po głowie. – Powiedział, że jesteś typem, który musi się upodlić, żeby coś zrobić... Tak to chyba określił. Podobno robisz z siebie męczennika...

Skrzywiłem się.

– Bardzo mi miło – odparłem.

– Bardzo proszę. Lubisz pisać, prawda?

– Czemu akurat rozmawiamy o pisaniu? Mam, kurwa, wrażenie, jakby wszyscy dookoła serwowali mi jakieś popierdolone literackie metafory, od których mam się niby lepiej poczuć...

– Mówiłeś o pisaniu...

– Jak byłem... młodszy... bardzo chciałem pisać. W zasadzie nie pragnąłem niczego innego... od kiedy przeczytałem *O czym szumią wierzby*. Znasz?

Pokręciła głową.

– Trudno... W każdym razie... Sam nie wiem... Kiedy osiągnąłem cel...

– Co masz na myśli?

– Kiedy pisałem, a ktoś to publikował... kiedy spełniłem swoje marzenie... została tylko pustka. Droga do celu była dla mnie bardziej motywująca. Dawała mi więcej radości.

– Wyznacz sobie jakiś nowy cel?

– Jaki?

– Skąd mam wiedzieć? Jeszcze mi nie powiedziałeś, co lubisz...

Zaciągnąłem się głęboko i nie wypuszczając dymu z płuc, napiłem się kawy.

– Lubię góry... Mój ojciec miał w biurze takie... ręcznie malowane panoramy Tatr z opisami szczytów. Zabierał mnie w góry, jak byłem dzieckiem...

– To pojedź z nim w góry.

– Mój ojciec nie żyje.

– Przykro mi.

– Nie jest ci przykro, nie znałaś go.

– Przykro mi, bo cię lubię.

Spojrzałem jej głęboko w oczy.

– Można się utrzymywać z pisania?

– W Polsce? Raczej nie.

– To co robisz oprócz pisania?

Wzruszyłem ramionami.

– Wymyślałem rzeczy, dopóki nie rzuciłem pracy... kilka dni temu... Redagowałem też cudze teksty... Miałem swoją rubrykę, w której pisałem o tym, co mnie wkurwia... Ludzie to czytali... bardzo często bili mi brawo... a ostatecznie i ta rubryka, i ci ludzie też zaczęli mnie wkurwiać... Chyba za bardzo zacząłem nienawidzić...

– Ich?

– Siebie. Wszystkiego... W pewnym sensie również ciebie i twojej ciasnej cipki... tak samo jak twojego pierdolonego luzackiego podejścia do seksu...

– Przecież od trzech dni mnie rzniesz...

Odkręciłem wodę w kranie i zgasilem papierosa. Nie miałem żadnych odpowiedzi.

Westchnęła.

– Czy ty masz myśli samobójcze?

– Nie, nie mam...

– Czyli nie chcesz się zabić?

– Chciałbym zacząć żyć. Błądzą po omacku... Dlaczego wszyscy myślą, że chciałbym umrzeć?

– Czyli lubisz chleb, mnie i góry, tak?

Tylko na nią patrzyłem.

– To zabierz mnie w góry... – powiedziała nagle i klasnęła w dłonie.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł...

– Dlaczego?

Milczenie.

– Chodzi o tę laskę o imieniu Sara? Oh, Sara, Sara...

Milczenie.

– To w takim razie skończ pierdolić i ją zabierz w góry... Jezu... faceci to debile. – Jej oczy momentalnie się zeszkliły. Wstała i wyszła z kuchni, a ja tylko odprowadziłem ją wzrokiem.

Pustka.

– Kasia... – zacząłem. – Jesteś... miłą dziewczyną.

Żadnej odpowiedzi.

Po kilku chwilach wróciła ubrana w za dużą koszulkę z nadrukiem przedstawiającym zabawnego psa. Pełny kontrast w odniesieniu do marsowego wyrazu jej twarzy.

Miała lekko zaczerwienione oczy.

– Na co się, kurwa, gapisz? – zapytała.

– Na ciebie...

– Co mam zrobić, żebyś poczuł się szczęśliwszy? Co mam zrobić, żebyś polubił mnie bardziej? Czy jest cokolwiek... – Na sekundę ukryła twarz w dłoniach. – Co mam zrobić? Ja cię naprawdę lubię... lubię... lubię... Nie pierdolę się, z kim popadnie. Jak cię wtedy... zobaczyłam po raz pierwszy... aż mi się mokro zrobiło... a ty mnie do siebie nie dopuszczasz... jesteś, kurwa, zimny...

– Masz w kiblku książkę o pięknych nastoletnich wampirach...

– Ja pierdolę, człowieku... To mojej współlokatorki. Czyli uważasz po prostu, że jestem dla ciebie za głupia, tak? Kurwa, świetnie... Właśnie oficjalnie możesz stąd wypierdalać... Bezczelny kutas.

– Kaśka...

– Właśnie tacy są, kurwa, faceci... Jebane ogiery. Bzykają, kogo popadnie, i jeszcze się tym chwają... a kobieta w takiej samej sytuacji od razu jest kurwą i szmatą.

Zaczęła płakać.

– Pierdoliłeś mnie, a teraz wrócisz do swojej cholernej Warszawy, do jakiejś starej szmaty... i pewnie jej nawet o mnie nie powiesz... Ulżyło ci, prawda? Kto to jest Sara? Twoja żona? Kto? Masz problem, bo nie dawała ci zbyt często dupy i wpadłeś w depresję?

– Kaśka...

– Co?!

– Zamknij na chwilę jadaczkę.

– Spierdalaj! Wypierdalaj stąd... Poużywałeś sobie, a teraz się wynoś... I jeszcze będziesz mi mydlił oczy, mówiąc, że mnie lubisz...

Chwyciłem ją za gardło i pchnąłem w stronę stolika. Agresywnie podwinąłem jej koszulkę i złapałem ją za dupę.

Kiedy skończyłem ją rznąć i wytrysnąłem jej na plecy, ona po prostu odwróciła się do mnie, otarła dłonią moją spoconą twarz i pocałowała mnie w policzek.

– Pojeb – mruknęła. – Szkoda tylko, że nie mój...

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. Będę miała o czym myśleć podczas samotnych nocy... – Przytuliła się do mnie. – Serce ci wali...

– Za dużo papierosów. Mam słabą kondycję – odparłem.

– Przynajmniej masz serce.

To wszystko moja wina.

Ten system jest zły, a ja po prostu stałem się jego częścią. System oblewania porażek i sukcesów. System ciągłego łączenia alkoholu z jakimikolwiek interakcjami międzyludzkimi.

Kieliszek na prawą i lewą nóżkę. Piwko po ciężkim dniu. Winko na lepszy sen. Wódka na lepszy apetyt.

Zaczynam się robić nerwowo na samą myśl, że nie mogę wypić.

To mogłoby mi pomóc. Kropelka czegośkolwiek.

Nerwowo drapię się po szyi.

Chciałbym zadzwonić do Samochodzika i zapytać go, gdzie jest.

Chciałbym zadzwonić do Sary i zapytać ją, jak się czuje.

Nie robię tego. Zamiast tego ubieram się i wychodzę z mieszkania Kaśki. Idę do pierwszego sklepu z narzędziami i kupuję młotek.

Później nie śpiesząc się, spacerowym krokiem zmierzam z młotkiem ukrytym pod marynarką.

Pora pozbierać się do kupy. Pora wrócić do Warszawy.

Zabiorę Sarę w góry.

Zrobię to. Ale jeszcze nie teraz.

Nie musiałem się włamywać do środka. Było otwarte.

– Czego pan sobie życzy? – zapytała barmanka, koleżanka Kaśki z pracy.

W klubie nie było jeszcze nikogo oprócz mnie, barmanki i ochroniarza, dzięki któremu pewnie odliczali sobie jeden procent podatku.

Ja lubię pracę.

– Poproszę o drinka...

– Menu...

– Trzy porcje ginu, jedna porcja wódki, pół porcji likieru Lillet. Wstrząsnąć z lodem i podać ze skórką z cytryny... – powiedziałem z uśmiechem, kompletnie ją ignorując.

Barmanka spojrzała na mnie jak na wariata.

– Ostro – odparła. – Co to jest likier Lillet?

Westchnąłem.

– Alkohol – odparłem. Rzuciłem jej na bar sto złotych. – Nie musi się pani śpieszyć... Idę do toalety...

A ty grzecznie zajmij się swoją robotą – pomyślałem.

Błyskawicznie zwinęła banknot z baru.

Pierdolona młodzież. Sól polskiej ziemi.

– Macie tu monitoring? – zapytałem nagle.

– Nie, nie ma.

– Hmm – mruknąłem.

Dobrze – pomyślałem.

Odwrociłem się na pięcie i ruszyłem w kierunku toalety. W mojej zaciśniętej dłoni pojawił się młotek.

Zerknąłem na zegarek.

Moja stabilna, zaktualizowana wersja 2.3. Mój pachnący elektrycznością software do mojego hardware'u.

17.12.

Tak. Co do sekundy.

– Dzień dobry – mówię do swojego lustrzanego odbicia. Próbuję być nonszalancki, ale tak naprawdę uderzam młotkiem w ścianę nad pisuarami. Płytki pękają przy każdym uderzeniu.

Każdy ma taką ścianę, na jaką zasługuje – przypominam sobie swoje słowa.

Jestem gniewem.

Biorę kolejny zamach.

ŁUP, ŁUP, ŁUP...

Jestem źródłem swoich własnych problemów. Jestem każdą źle podjętą decyzją.

To nie jest wina Mirka ani Marty, ani wszystkich innych niby-przyjaciół. To moja wina. Mogłem wybrać inaczej.

– Kurwa! – krzyczę.

Kopniakiem rozwalam jeden z pisuarów, biorę kolejny zamach i i znowu uderzam. Dziura w ścianie jest coraz większa, a ja już prawie nie czuję ręki. Jest tylko ból.

ŁUP.

Wszystkim dziękuję za wsparcie.

ŁUP.

Dziękuję wszystkim tym, którzy okłamują samych siebie, że wszystko jest w porządku, kiedy obok komuś innemu może właśnie zawala się cały świat. Ale to nieważne. Przecież wszystko jest w porządku...

ŁUP.

Dziękuję wszystkim pięknym historiom o królewnach i królewiczach, którzy żyli długo i szczęśliwie.

ŁUP.

Do toalety wbiega ochroniarz. Jest wielki i niezbyt bystry.

Widzi mnie ubranego w szary garnitur, ubrudzonego pyłem na stercie kafelków i pyta:

– Nic się panu nie stało?

– Wszystko w porządku – odpowiadam.

– Co pan robi?

Sympatyczny głupek, który mógłby mnie złamać w pół, gdyby tylko chciał. Jeden na milion.

Wskazuję młotkiem drzwi.

– Spierdalaj stąd – rzucam. – Mamy remont.

Chłopak przygląda mi się jeszcze przez chwilę i znika.

Cudowna polska młodzież.

Uderzam młotkiem po raz kolejny. Mocniej!

Zaczynam się śmiać. Moje ciało płonie żywym ogniem.

To szaleństwo, ale od bardzo dawna nie byłem szczęśliwszy.

ŁUP.

Kolejne uderzenie i kolejny wybuch śmiechu.

Dziękuję, Mirek, ty skurwysynu, za każdą radę, której mi w życiu udzieliłeś.

Dziękuję wszystkim pojebom bez serca, którzy potrafią tylko brać, nie dając nic w zamian.

Dziękuję księżom, starcom, dzieciom, mniejszościom seksualnym. Dziękuję, kurwa, wszystkim. Dziękuję czytelnikom i nie-czytelnikom.

A przede wszystkim dziękuję sobie.

Przy ostatnim zamachu przebijam w ścianie małą dziurkę.

Uderzam jeszcze raz.

Upuszczam młotek, który z hukiem upada na podłogę, i podchodzę do ściany. Wkładam palec w dziurę. Przekręcam.

Moje własne, prywatne okno.

Udało się.

Było dobrze.

Oddychając ciężko, umyłem ręce, wycisnąwszy na dłonie kilka razy mydło z dozownika.

Byłem czerwony i zlany potem.

Oplukałem twarz i przeczesalem włosy.

Spojrzałem na swoje lustrzane odbicie.

Ściany nie ma – pomyślałem.

Ciekawe, jakie teraz znajdę sobie wytłumaczenie?

Zacząłem się śmiać. Adrenalina buzowała mi w żyłach.

Przestajemy szukać potworów pod łóżkiem, kiedy okazuje się, że mieszkają wewnątrz nas.

Muszę stąd iść. Mam masę rzeczy do zrobienia. Całe jebane życie do przeżycia.

Barmanka miała wystraszoną minę. Tuż obok niej za barem stał mężczyzna w długich włosach, w którym rozpoznałem menadżera.

Podszedłem do nich i położyłem młotek na barze.

– Wzywaj policję – szepnął do niej. – Rusz się, ty głupia dupo!

Uśmiechnąłem się i sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Zwitek banknotów w mojej ręce zaczął szeleścić. Odliczyłem tysiąc złotych i położyłem go obok młotka.

– To za ścianę.

Menadżer przyglądał mi się przez chwilę.

– Odwołaj gliny – szepnął do barmanki.

– Jeszcze nie zadzwoniłam.

– Dobrze.

Dopiero teraz zauważyłem stojący na stole samotny kieliszek z moim drinkiem.

Przeszedł mnie dreszcz.

Przełknąłem ślinę.

– Powiecie mi później, jak smakował, dobra?

Odwróciłem się i zacząłem wychodzić.

– Dlaczego mój kibel? – Usłyszałem zza baru, kiedy byłem już prawie przy wyjściu.

– Skąd mam wiedzieć? Ludzie robią rzeczy – powiedziałem.

Na zewnątrz minąłem ochroniarza.

– Wszystko w porządku? – zapytałem. – Pamiętasz mnie? Byłem tu ze znajomym...

Milczał.

– Jak ktoś wsadzi komuś palec do dupy, to który z nich będzie miał palec w dupie? – zapytałem.

Milczał, unikając mojego spojrzenia.

Wcale mu się nie dziwię.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, przywitało mnie żywe światło dnia i nic już nie miało znaczenia. Z dłońmi głęboko w kieszeniach zacząłem iść przed siebie.

Po raz pierwszy od miesiący.

To koniec.

Był tylko wszechogarniający spokój.

Spacerując po mieście i paląc papierosy, myślałem trochę o Kaśce.

Było mi przykro. Nie planowałem tego.

Miałem silne postanowienie, że wrócę do Warszawy, uporządkuję resztę spraw – między innymi znajdę nową pracę – i zabiorę Sarę w góry. Tak, niczego bardziej nie pragnę.

Ludzie to konsekwencje decyzji, które sami podejmują, a ja miałem zamiar dla odmiany podjąć teraz kilka dobrych. Ciekawe, gdzie mnie to zaporowadzi.

Pomyślałem o wypadku i Panu Samochodziku. Pomyślałem o ostatnich słowach, które od niego usłyszałem.

Po drodze zatrzymałem się w jednej z księgarni. Po kilkunastu minutach odnalazłem egzemplarz *O czym szumią wierzby*.

Okładka była gówniana, z grafiką na licencji serialu animowanego, ale to nadal była ta książka.

Zapłaciłem za nią przy kasie, a później pożyczonym na chwilę długopisem napisałem: „W podziękowaniu za opiekę – wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowałem”.

Po chwili wahania dopisałem: „Przestań czytać chujowe książki albo zmień lokatorki. Brak gustu jest zaraźliwy, tak jak poglądy polityczne. Lubię cię. AM”.

Kiedy postawiłem ostatnią kropkę, poprosiłem o zapakowanie książki, która po kilku chwilach wróciła do mnie w małej, gustownej papierowej torebce.

Kilkanaście minut i kolejne dwa papierosy później zatrzymałem się w kolej w serwisie telefonów komórkowych. Kupiłem stary telefon za niecałe dwieście złotych, wsadziłem do niego

kartę startową za dziesięć złotych, a później go włączyłem.

Po pojawieniu się czarno-białego ekranu powitalnego minęło jeszcze kilka sekund i już byłem w sieci.

Teraz tylko potrzebowałem numerów.

Wzięłem głęboki wdech i pomyślałem o Panu Samochodziku. O kilku gestach, które wykonał, o tym, jak poruszają się jego usta, kiedy mówi i kiedy się uśmiecha, o jego mieszkaniu i wcześniej o kilku drinkach, i jeszcze kilku... a później znowu o mieszkaniu, o podróży... o jego wizytówce.

– Mam cię – szepnąłem, kiedy dziewięć liczb pojawiło się w mojej głowie. Najtrudniej było składać numery ze strzępów pijackich wspomnień.

Wybrałem numer i włączyła się automatyczna sekretarka.

– Cześć... – rzuciłem do słuchawki. – Może ciężko będzie ci w to uwierzyć, ale trochę zbyt dosłownie potraktowałem twoją radę... wyburzyłem ścianę. Wpadłem tam z młotkiem i nie skończyłem napierdalać, dopóki... dopóki się nie przebiłem. Miałaś rację. Czuję się lepiej. Jestem trzeźwy. Wracam do Warszawy. Oddzwoń, jak znajdziesz chwilę. – Nacisnąłem czerwoną słuchawkę.

Zacząłem iść spacerowym krokiem. Z numerem Sary było łatwiej.

– Cześć, mała... – powiedziałem, kiedy usłyszałem jej głos. – Jak się czujesz?

– Martwiłam się o ciebie...

– Naprawdę? – Uśmiechnąłem się.

Wszedłem w jedną z bocznych uliczek od rynku, minąłem zakład fryzjerski i sklep papierniczy.

– Nie, ty kretynie! Pobijeś Michała przed moim domem! – warknęła. – Czy ty, kurwa, oszalałeś? To nie może tak wyglądać... Nie możesz robić takich rzeczy...

Chrząknąłem.

– Podnieciło cię to, prawda? Chociaż trochę? – zapytałem.

Milczenie w słuchawce było tak długie, iż pomyślałem, że się rozłączyła.

– Może trochę – mruknęła. – Nie zmienia to faktu, że od dzisiaj kończymy z głupimi numerami, dobrze? Nie będziesz bił moich znajomych z pracy.

– Sara...

– Obiecuj.

– Obiecuję.

– Tęsknię za tobą. To dziwne. Ale naprawdę tęsknię... – rzuciła nagle. – Coś mi się przestawiło w głowie. Jakiś instynkt.

Znowu się uśmiechnąłem.

– Ja za tobą też. Dzisiaj w nocy będę w Warszawie. Zastanawiałem się, czy... mógłbym...

– Nie bądź, kurwa, głupi... Czym przyjeżdżasz?

– Pociągiem.

– Odbiorę cię z dworca... A później cię wybykam.

– Brzmi obiecująco – przyznałem. – Sara?

– Tak?

– Pojedziesz ze mną w góry?

– Myślałam, że już tego nie zaproponujesz. Powiedz mi, gdzie ty w ogóle jesteś. No chyba, że to jakaś tajemnica...

– Tajemnica? Nie bardzo... Ja po prostu...

I wtedy właśnie poczułem uderzenie, które odebrało mi dech w piersi. Papierowa torebka wysunęła mi się z ręki.

Czas zwolnił, a ja słyszałem oddalający się głos Sary w słuchawce.

Osunąłem się na jedno kolano i zakrztusiłem, z trudem łapiąc powietrze.

Dotknąłem swojego boku, który zaczął palić, jakby ktoś przyłożył mi do skóry rozgrzany pręt. Na dłoni miałem ślady krwi.

– Pamiętasz mnie, skurwysynu? Mówiłem, że cię dopadnę, gnoju jebany...

Usłyszałem głos, który brzmiał bardziej jak histeryczny pisk.

Przed oczami pojawiła mi się sylwetka. Ogolony na łyso chłopak w brudnych i śmierdzących ciuchach. Spodnie bojówki, czarny t-shirt z nazwą zespołu, którego nie znałem i już w zasadzie nigdy nie miałem poznać.

W dłoni trzymał zakrwawiony nóż.

– Kim jesteś? – zapytałem z trudem.

– Nie pamiętasz mnie? – ryknął. – Rzniesz moją dziewczynę i robisz ze mnie złodzieja... Nie pamiętasz mnie? Nie pamiętasz mnie, skurwielu?

Z impetem dźgnął mnie jeszcze kilka razy w ten sam bok.

Zakręciło mi się w głowie... Osunąłem się na drugie kolano i klęcząc przed nim, po prostu wykrwawiałem się na śmierć.

Ktoś chyba wyczerpał swój limit szczęścia.

Miałem problem z oddychaniem.

W drżącej dłoni kurczowo ścisnąłem telefon komórkowy.

– Jestem Błazej! Błazej! Mam na imię Błazej!

– Nie znam cię – szepnąłem.

– Nie znasz mnie? Nie znasz mnie, kurwa?!

Podszedł i dźgnął mnie jeszcze raz, a później zatoczył się do tyłu, tracąc równowagę.

Z trudem podniosłem rękę z telefonem do ucha.

– Nie czekaj na mnie – wyrzuciłem do słuchawki i w tym samym momencie osunąłem się na plecy. Na mojej koszuli rozkwitał coraz większy bukiet czerwonych róż, do momentu aż wszystko pochłonęła czerwień.

– Za dużo jest skurwieli na świecie – pisnął dzieciak w moim kierunku. Chyba płakał. Nie miało to już dla mnie znaczenia. – Same skurwysyny... To jest, kurwa, nauczka! Słyszysz?! – Napluł mi w twarz. – Trafiła kosa na kamień, chuju. Trafiła kosa! I co teraz powiesz? Zerzniesz moją dziewczynę? Powiesz coś, waźniaku? To jest sprawiedliwość... Rozumiesz? Jestem Błazej! Błazej!

Z trudem przełknąłem ślinę.

Gdy się leży i umiera, nie myśli się o niczym, ale to chyba nie do końca prawda.

Kolejny dzieciak napędzany gniewem. Kolejny taki sam. Ludzie jak maszyny. Warci tyle samo co jebany telefon komórkowy ze zaktualizowanym oprogramowaniem.

Zamglonym spojrzeniem odnalazłem papierową torebkę z książką dla Kaśki.

To trochę smutne. Umieranie. I to w chwili, w której postanowiłem być choć trochę lepszy.

Nagle w mojej głowie pojawiła się myśl, że może ktoś mnie uratuje. Że nie wyczerpałem limitu szczęścia, że może zasługuję na jeszcze jedną szansę. Tym razem bym jej nie zmarnował.

Dzieciak z nożem jeszcze coś do mnie krzyczał, ale wszystko było wytłumione, jakbym siedział na dnie oceanu.

Wyobraziłem sobie, że Sara może zadzwoni na policję. Może namierzą mnie przez telefon. Może zdążą. Tylko, że ona nie wie, gdzie jestem.

Kurwa, mogłem zrobić jeszcze tyle rzeczy. Tyle miłych rzeczy. Tyle małych rzeczy.

Znowu przełknąłem ślinę i charknąłem kilka razy.

Tyle do zrobienia, a tak mało czasu. Pokolenie maratończyków-niewdzięczników.

Awaria zasilania.

Lubię świeży chleb...

Lubię wodę...

Lubię góry...

Lubię Sarę...

Lubię spacerować...

Lubię żyć...

Lubię.

...

...

...

...

Tyle do zrobienia.

EPILOG

W garniturze i pod krawatem. Byłem tam.

Nacisnąłem dzwonek domofonu jeszcze kilka razy i kiedy drzwi się otworzyły, ostrożnie ruszyłem holem głównym w kierunku wind. W moim stanie wchodzenie po schodach nie wchodziło w rachubę. Byłem owinięty opatrunkami jak baleron i przy każdym gwałtowniejszym ruchu czułem, jak szwy na moim brzuchu i lewym boku dosłownie się rozchodzą.

Zatrzymałem się w windzie i wziąłem kilka głębokich oddechów. Rozpiąłem marynarkę i zauważyłem na koszuli dwie małe plamy krwi.

– Sexy – powiedziałem do swojego lustrzanego odbicia. Próbowałem być nonszalancki, ale jedyne, o czym potrafiłem myśleć, to to, ile ciosów nożem trzeba dostać, żeby w końcu umrzeć. Ile razy trzeba zostać potrąconym przez samochód.

Nacisnąłem przycisk, drzwi windy zasunęły się, a ja po prostu z powrotem zapiąłem guzik marynarki.

Moja wyjściowa wersja 2.3. W pełni zaktualizowana i odświeżona – gotowa do tworzenia i utrzymywania relacji międzyludzkich. Tak właśnie według niektórych pachnie i wygląda człowieczeństwo.

Kiedy znalazłem się już na górze i kiedy mnie zobaczył, jego twarz się wydłużyła.

– Nawet nie wiesz... – Urwał na chwilę, poszukując odpowiednich słów. Na stopach miał kapcie z pomponikiem, które w dziwny sposób współgrały z jego przejęciem. – Tak się, kurwa, ucieszyłem, kiedy zadzwoniłeś... Deo! Wejdz.

– Mirek – powiedziałem i się uśmiechnąłem. – Chciałem porozmawiać...

– Wiem, zaraz będziemy rozmawiać... Wejdz.

Przestąpiłem próg jego mieszkania.

Mirek-totem. Mirek-mentor.

– Tereski nie ma. Mamy ciszę i spokój...

Skrzywiłem się. To zadziwiające, jak wiele rzeczy dzieje się w mieszkaniach pod nieobecność żon i mężów.

– Planowałem przywieźć jakiś alkohol, ale... – zagadnąłem.

Mirek machnął ręką, dając mi do zrozumienia, że jest wystarczająco zaopatrzony.

– Jak się czujesz? – zapytał, przyglądając mi się uważnie. Później dodał z fałszywą wesołością: – Masz siwe włosy! Naprawdę!

– To były trudne dni – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Jakiś ogolony łeb potraktował mnie nożem... Półtora tygodnia w szpitalu. Czterdzieści pięć szwów... i ładna siwizna.

Nazywam się Błażej! Błażej, skurwysynu! Pamiętasz mnie?!

– Ale to już zauważyłeś... – dodałem wymijająco.

Mirek cofnął się kilka kroków i oparł się o ścianę.

– Nawet nie wiesz, jak się poczułem, kiedy zadzwoniłeś... Poczuję się...

– Dobrze? – zapytałem.

– Tak, poczułem się dobrze – przyznał. – Bardzo to wszystko przeżyłem... W zasadzie nie mogłem uwierzyć, kiedy usłyszałem twój głos.

– Możesz podziękować dzieciakowi z nożem – powiedziałem.

Ruszyliśmy w stronę salonu, gdzie ostrożnie zająłem miejsce na kanapie.

– Drinka? – zapytał. – Whisky, burbon, koniak, brandy, wódka, likier, wino? Na co masz ochotę?

Skrzywiłem się.

– Na wszystko.

Mirek wahał się przez kilka sekund, zastanawiając się, czy żartuję. Ostatecznie chwycił za butelkę burbona i dwie niskie szklanki. Kiedy wszystko było gotowe, siedzieliśmy tam naprzeciwko siebie, sącząc drinki i wsłuchując w przyjemne grzechotanie kostek lodu.

– Dorwali go? – zapytał w końcu. – Tego gnoja, który cię zaatakował?

Wsadziłem do ust papierosa i odpaliłem go od benzynowej zapalniczki, którą trzymałem w kieszeni marynarki razem z telefonem. Wszystko na swoim miejscu. Wszystko tak, jak powinno być.

– Nie. Jeszcze nie. Podobno zniknął. – Mimo bólu pochyliłem się nad stolikiem, chwyciłem za butelkę i dolałem mu alkoholu.

– Chcesz mnie upić tymi perfumami? – zażartował.

– Taki mam plan – odparłem.

– Nie wiem, jak będzie z twoją pracą... Dałeś mi ostro do wiwatu... Na pewno coś wymyślę... ale... sam rozumiesz... przyjąłem twoje wypowiedzenie... zresztą... byłeś bardzo dosłowny... – Zmieszał się. – Dobrze, że żyjesz i że wszystko wróciło do normy. Naprawimy wszystko... zobaczysz...

– Wszystko jest w normie. I nie chcę pracy – odparłem. – Nie po to przyszedłem. Chciałem tylko porozmawiać... Oczyszczyć atmosferę... Pij – zachęciłem go.

Mirek przyglądał mi się podejrzliwie.

– Chciałeś oczyścić atmosferę? – zapytał, upijając łyk ze swojej szklanki. – Co się z tobą działo przez ostatnie tygodnie?

– Musiałem dorosnąć – odpowiedziałem, głęboko zaciągając się papierosem.

– I dorosłeś już?

Wzruszyłem ramionami i mimo miłego znieczulenia zafundowanego przez Pana Doktora

Bourbona, skrzywiłem się.

Kurwa.

Pomyślałem o krwawych plamach na koszuli. Pomyślałem też o tym, że może to wszystko nie dzieje się naprawdę. Może w rzeczywistości leżę tam na chodniku i umieram. Wykrwawiam się, licząc w głębi duszy na to, że może jednak mi się uda.

To byłoby smutne.

Nazywam się Błażej, kurwa! Błażej! Błażej!

– Może, a może nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Na pewno próbuję.

Mirek się zamyślił.

– Zraniłeś mnie.

– Wiem – przyznałem, dolewając mu alkoholu.

Mijały sekundy, minuty i godziny.

– Jesteśmy przyjaciółmi, Deo. Kocham cię.

– Przepraszam – powiedziałem, dolewając mu alkoholu.

– Jesteś dla mnie jak syn.

– Nasze zdrowie, Mirek! – powiedziałem, dolewając mu alkoholu, po czym wstałem po kolejną butelkę.

Mijały sekundy, minuty i godziny. Nikt nie liczył, bo nikt nie musiał.

– Czy naprawdę myślisz, że twoje... załamanie to moja wina? – zapytał nagle, lekko bełkocząc. – Myślisz, że nawaliłem... że... nie dałem rady?

Odpaliłem kolejnego papierosa.

– Pij, Mirek. Moje zdrowie. Nie było żadnego załamania... była ściana... ale jej już nie ma. Nigdy nie było. Zdrówko.

– Deo. Będzie dobrze. Ze mną nie zginiesz. Wszystko naprawimy – wybełkotał, pijąc dalej. – Kocham cię i cieszę się, że jesteś tu... ze mną... Tereski nie... ma... więc... więc... nie musimy się martwić. Dzisiaj ma wychodne.

– Wiele ci zawdzięczam, Mirek. Naprawdę wiele. Twoje zdrowie. – Pochyliłem się w jego kierunku. – Przepraszam za moje zachowanie – kontynuowałem. – Nie zasłużyłeś na to. Nie rozpiłeś mnie... to ja sam. To mój brak doświadczenia. Moja jebana naiwność. Zawdzięczam ci pracę. Dosłownie przygarnąłeś mnie z ulicy... ale...

– Geniusz – wybełkotał, wskazując mnie palcem. – Kocham cię.

Dolałem mu alkoholu i odstawiłem pustą butelkę do pozostałych.

– Dużo ci zawdzięczam i zawsze będę. My sami popełniamy swoje błędy. Inni nie robią tego za nas, Mirek. To my. To ja.

Odpaliłem kolejnego papierosa.

– Zrozumiałem też... – Wypuściłem dym nosem. – Zrozumiałem, że... że nie jesteś moim ojcem. Nigdy nim nie byłeś i nie będziesz... Na zdrowie. Pij, Mirek. Moje zdrowie. No, wypij... tak jak zawsze.

Mirek uniósł szklanę do toastu.

Mirek-totem.

– Przyszedłem tu, żeby porozmawiać... Żeby oczyścić atmosferę. Żeby przeprosić. Przyszedłem, żeby to wszystko powiedzieć. – Zaciągnąłem się ostatni raz i wrzuciłem papierosa do mojej jeszcze nie do końca pustej szklanki.

– Jak Marta? – wybełkotał. – Rozmawiałeś z nią?

– Marta? – prychnąłem. – Nie ma żadnej Marty. Jest Sara... tylko i wyłącznie Sara. Chyba zawsze była.

Mirek zmarszczył brwi.

– Jej psiapsiółka? – Czknął. – Jesteś z jej psia... psiapsiółką? – Zaczął się śmiać, jakby usłyszał najzabawniejszą rzecz na świecie.

– Próbujemy... – odparłem. – Ona chce... ja chcę... Ale dopóki ja nie przestanę pić, a ona dawać dupy... może być ciężko... ale to już nie twoja sprawa, Mirek. To tylko moja sprawa – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Możesz po prostu wypić nasze zdrowie. Zdrówko, Miruś!

– Twoje zdrowie, Deo. Zobaczysz... Będzie dobrze. Zadbam o ciebie, jak zawsze – krzyknął.

– Chcę tylko wiedzieć, czy między nami jest już dobrze? – zapytałem. – Wybaczymy sobie? Mirek, wybaczasz mi? Jest w porządku?

Mirek zrobił poważną minę.

– Wybaczymy – powiedział. – Oczywiście, że wybaczymy.

– Atmosfera oczyszczona?

– Czysta jak... jak czysta atmosfera! Tak czysta, Deo. Najczystsza.

Podpierając się ręką, wstałem z kanapy.

Przeszywający ból.

– Cieszę się, że wszystko sobie wyjaśniliśmy – przyznałem, podsumowując rozmowę, która nie była dialogiem, tylko monologiem. Zawsze tak było. Mijaliśmy się. – Potrzebowałem tego, żeby zacząć od nowa... Żeby zacząć oddychać. Dziękuję.

Ominąłem stół i podszedłem do fotela, w którym siedział. Był kompletnie najebany. Na każdą moją szklaneczkę alkoholu przypadały jego cztery.

Spojrzał na mnie tępyim wzrokiem i się uśmiechnął. Wyglądał, jakby miał porażenie mózgowie.

Chwila do namysłu.

Trzy oddechy.

– Naprawdę rznąłeś Martę? – zapytałem nagle. – Wiedziałaś, że z nią jestem... żaliłem ci się, jak bardzo jestem, kurwa, nieszczęśliwy... Rznąłeś ją? Pierdoliłeś ją za moimi plecami?

– Deo...

Był pijany, ale w jego oczach zobaczyłem strach.

Pochyliłem się w jego kierunku tak blisko, że dosłownie czułem ciepło mojego oddechu.

– Nigdy nie byłeś moim ojcem... – szepnąłem. – Nie byłeś też moim przyjacielem. Przyjaciel nie pierdoliłby mojej kobiety. Nigdy. Nigdy, kurwa, rozumiesz? I nie ma znaczenia, czy byłem z nią szczęśliwy, czy nie... Chodzi o zasady. Znasz takie słowo? Leczyłeś sobie mną kompleksy, kiedy byłeś dla mnie całym światem.

Złapałem go za koszulę na karku i szarpnąłem mocno. Mirek zwałił się na podłogę i stęknął głośno. Chwyciłem go za rękę, którą wyciągnął w moim kierunku w poszukiwaniu pomocy, i zacząłem ciągnąć go w kierunku przedpokoju. Kaptcie z pomponikami pospadały mu ze stóp.

– Jesteś praworęczny? – zapytałem, otwierając drzwi na korytarz. – Wiem, że jesteś...

Mirek tylko jęczał.

– Skoro wyjaśniliśmy sobie wszystko, to teraz musimy ustalić pewne nowe zasady... Lekcja pierwsza, Mirek: ponosimy konsekwencje swoich czynów.

Podciągnąłem go w kierunku otwartych drzwi i położyłem jego prawą rękę na progu tak, że przedramię dotykało framugi. Przytrzymałem ją butem i zamasyście trzasnąłem drzwiami. Nie było huku, tylko chrupnięcie łamanej kości i zawodzące wycie Mirka, rozchodzące się echem po klatce schodowej.

Pochyliłem się nad nim i zatkałem mu usta.

– Ciiiiichooooo... Ciiiiicho! No już... Spokojnie, Mirek. Nie powinieneś pierdolić kobiety swojego przyjaciela, słyszysz? To lekcja druga, skurwysynu. Będziesz to pamiętał, ilekroć będziesz musiał się podpisać... Ilekroć o mnie pomyślisz, będziesz, kurwa, myślał o tym złamaniu.

Ominąłem go i poprawiając krawat, wyszedłem z jego mieszkania.

Westchnąłem i złapałem się za lewy bok.

Czułem ciepło rozlewające się po ciele.

Podczas szamotaniny musiał strzelić mi któryś ze szwów.

Wezwałem przyciskiem windę i kiedy drzwi się rozsunęły, wślizgnąłem się do środka, wszystko zostawiając za sobą. To koniec. Tym razem naprawdę.

Wyciągnąłem z kieszeni telefon komórkowy i spróbowałem zadzwonić po taksówkę, ale

w środku nie było zasięgu.

To tyle w kwestii błyskawicznej ucieczki, nowego telefonu i abonamentu za sto pięćdziesiąt złotych – pomyślałem.

Kiedy winda sunęła na parter, ja tylko pocierałem skronie.

Myślałem o Panu Samochodziku i o tym, że miałem do niego zadzwonić i zjeść z nim dzisiaj lunch.

Myślałem o Sarze i o tym, że mieliśmy iść dzisiaj na kolację.

Myślałem o Mirku, który najbliższe trzy tygodnie będzie nosił rękę w temblaku.

Myślałem o tym wszystkim i nagle zrozumiałem. Ściana naprawdę zniknęła. Muszę wytrzeźwieć i zacząć żyć. To jest ten, kurwa, moment. W przeciwnym razie już zawsze będę się oszukiwał. Już zawsze będę obiecywał sobie i innym, że zacznę od jutra. Jutra, kurwa. Jutra, jutra, jutra!

Kiedy drzwi windy się rozsunęły, zacząłem biec. Najpierw na ulicę, a później dalej. Po prostu biegłem. Biegłem, ile sił w nogach.

Biegłem, dopóki nie zakrwawiłem całej koszuli.

Biegłem, bo chciałem tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

To nie przemoc czyni nas mężczyznami. To zasady.

Mam nadzieję, że naprawdę nie leżę tam na chodniku i nie umieram. Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

Biegnę, a z każdą kolejną chwilą ból jest coraz mocniejszy. Urzeczywistnia wszystko.

Zatrzymuję się i podpierając się o własne kolana, zaczynam się śmiać. Oddycham ciężko, myśląc o swojej słabej kondycji. O wszystkich papierosach, które kiedykolwiek wypaliłem.

Muszę nad tym popracować.

– Tak, kurwa, tak – mruczę pod nosem, a w głowie mam milion myśli. – Wypierdoliłem się na schodach...

Przede mną jeszcze kawał drogi. Wstajemy i idziemy dalej.

To prawda.

Ściany już nie ma.

Maraton trwa dalej i, błagam, niech trwa jak najdłużej.

POSŁOWIE I PODZIĘKOWANIA

Maraton jest trochę o tym, że jesteśmy okłamywani. Każdego dnia. Wmawiają nam, że nieskończona, cudowna miłość, księżniczki i królewicze, udana kariera, że wszystko to jest na wyciągnięcie ręki. Że wystarczy dobrze się rozejrzeć i zabrać do domu ulotkę z obietnicą lepszego życia. To nieprawda. W prawdziwym świecie wszyscy i wszystko mają wady, a największa trudność polega na ich akceptowaniu.

Czy chciałbym dodać coś jeszcze? Tak.

Maraton był wyczerpujący. Szczerze mówiąc, mam dość na kolejnych kilka lat. Obiecuję tym samym, że na jakiś czas powrócę do pisania o przyjemniejszych tematach, na przykład o seryjnych mordercach albo przemyśle porno. Na pewno będziesz zachwycony, mój drogi Czytelniku.

A tak na poważnie, to czuję się w obowiązku wobec Ciebie, aby wspomnieć o kilku rzeczach.

Po pierwsze, mam cudowną żonę, która poskładała mnie z kilku mniejszych elementów, używając mocnego kleju, a później zabrała do łóżka – być może po to, by sprawdzić, czy klej trzyma. Sam nie wiem. Ja w rewanżu zabrałem ją na wysoką górę i się jej oświadczyłem. Uważam, że to uczciwa wymiana.

Po drugie, nigdy nie miałem na sobie garnituru za pięć tysięcy złotych, choć na pewno jest fantastyczny.

Po trzecie... i tak dalej, i tak dalej.

Zmierzam do tego, że *Maraton* nie jest tak osobisty, jak mogłoby się wydawać. To zabawa literaturą, narracją pierwszoosobową i kilkoma innymi rzeczami, które wziąłem na warsztat. W przypadku pisania takich opowieści zawsze pojawia się element własnych doświadczeń, ale w moim przypadku jest to głównie wynik obserwacji. A wiercie mi na słowo, że mam oczy szeroko otwarte.

Przy mojej poprzedniej dużej publikacji często słyszałem pytania dotyczące mojego osobistego życia, więc tym razem po prostu się asekuruję. Dlatego niech nikt mnie nie pyta, czy za dużo piję... Ostrzegam. Niech zamiast tego zaprosi mnie na kawę albo drinka i sam się przekona.

Opowieści rządzą się własnymi prawami. Gdybyście nie wierzyli bohaterom, o których czytacie, pisanie nie miałoby sensu.

W tej właśnie chwili możesz, drogi Czytelniku, sam zdecydować, jak dużo w historii, którą przeczytałeś, jest samego autora. Możesz zdecydować tak samo jak w kwestii zakończenia. Czy to był happy end? A może jednak nie? Masz ten przywilej i nikt Ci go nie odbierze. Bo przecież zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że się za bardzo uzewnętrzniałem, a teraz próbuję „wciskać kit” albo, jak by powiedział to bohater tej książki, Deo, próbuję odwracać kota ogonem,

okłamywać, oszukiwać, kręcić, łgać, ściemniać. Mistrz synonimów, prawda?

Co do samej historii: po skończeniu pierwszej wersji maszynopisu dostałem od mojej niedoszłej asystentki i przyjaciółki e-maila o treści: „Deo jest trochę jak Yossarian... Tak bardzo pragnie żyć czuć, że gotów jest poświęcić życie, próbując (...). Teraz już jest spokojny. Już się nie miota. Zburzył ścianę i nie zdążył niczego znowu spieprzyć, a na pewno by to zrobił... Tak jest dobrze. Przecież to też jest happy end”.

Ja odpisałem jej tylko: „Musimy grać fair. W drugim akcie pojawiła się siekiera, w ostatnim została użyta. Moją siekierą był Błazej...”.

Koniec?

Teraz część najtrudniejsza, czyli podziękowania.

Zacznę od grona moich pierwszych czytelników, na których zawsze mogę liczyć, nawet jeśli to, co piszę, uważają za „ociekające potem i spermą trudne pisanie”. Czasami się zdarza, to fakt.

A oto lista:

Agnieszka Kapuścińska – moja pierwsza recenzentka, przyjaciółka i osoba, która nawet z Francji potrafi mi napisać, że się ociągam w pisaniu; Justyna Corso – moja żona i osoba najbliższa mi na całym świecie (dzięki, Skarbie, za cierpliwość, dla Ciebie warto pisać i się starać); Robert Urbański – profesjonalista, którym ja pewnie nigdy nie będę (potrafi wytknąć mi takie błędy, o których Wam się nie śniło); Joanna Gonschorek, która w recenzje włożyła całe swoje serce; Arkadiusz Rodak – który za każdym razem mówi, że teraz czeka na kolejną książkę; Bartek Rodak – człowiek o złotym sercu i ostrym piórze, którego wiedzę historyczną wykorzystuję przy kolejnym projekcie; Paweł Milnicki – który czyta to, co mu podsuwam, z niesamowitym wręcz poświęceniem (niniejszą książkę przeczytał w całości na ekranie telefonu komórkowego, a kiedy po kilku godzinach skończył od razu do mnie zadzwonił); a także Anna i Marcin Andrzejewscy, którzy zauważyli postęp.

Ponadto listę podziękowań uzupełniają: Ania i Piotr Lenart oraz Ania i Radomir Bierwiczonek (zarówno dwie Anny, jak i ich mężowie są dla mnie i dla Justyny prawie jak rodzina); Filip Tomiałojć, który sam powinien zacząć pisać (przynajmniej w przerwach w jeżdżeniu ze mną na basen); Grzesiek Idziak, któremu nikt nigdy nie dziękował w żadnej książce; Jacek Głomb, który chyba zawsze będzie dla mnie dyrektorem; Małgosia Michalczyk, bo zasługuje na to, żeby wspominać o niej za każdym razem; a także Aniela, Malka i Mateusz Krzyk – jesteście świetni.

Ta książka nie ukazałaby się (w tej formie, a na pewno nie tak szybko), gdyby nie pomoc i zaangażowanie w cały proces wydawniczy dyrektora Grzegorza Szczepaniaka z Legnickiego

Centrum Kultury, a także prezesa Łukasza Zielińskiego z Teatru Avatar. Bardzo Wam dziękuję!

Dziękuję również Tobie, mój drogi Czytelniku! To Ty jesteś tu najważniejszy. Mam nadzieję, że było warto. Życzę nam samych udanych spotkań...

...a także zdrowia, pieniędzy i czego tam jeszcze chcesz!

A dlaczego by nie? To moje podziękowania.

18.04.2013, Legnica

Przemek Corso